

Gustaw Holoubek
Wspomnienia z niepamięci

Gustaw Holoubek. Aktor. Urodzony w Krakowie 21 kwietnia 1923 roku. Od ukończenia studiów w krakowskiej Państwowej Szkole Dramatycznej w roku 1947 po dzień dzisiejszy uczestniczy nieprzerwanie w życiu artystycznym polskiego teatru. Ma za sobą ponad trzysta ról teatralnych, filmowych, telewizyjnych i radiowych. Kultuwyuje sobie tylko właściwy styl gry aktorskiej, który zjednał mu opinię artysty wybitnego. Sam o sobie zwykł mówić, że żyje w dwóch odrębnych światach, świecie codzienności i sztuki, że wymyślony, iluzoryczny świat teatru jest dla niego ucieczką i schronieniem przed skazaniem na realizm życia.

sam swoi
Gustaw Holoubek
Wspomnienia z niepamięci
ilustracje Kazimierz Wiśniak
Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Warszawa 2000

Projekt okładki - Kazimierz Wiśniak Projekt graficzny serii - Maciej Sadowski
Redakcja - Maja Lipowska Redakcja techniczna - Mariusz Jaśtak Korekta -
Stanisława Staszkiel
(c) by Gustaw Holoubek
(c) for this edition by MUZA SA, Warszawa 1999, 2000

I
ISBN 83-7200-593-1
Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA Warszawa 2000

Ojciec
Matka moja była ze wsi. Pochodziła gdzieś ze wschodniej Małopolski i nigdy nie dowiedziałem się, jakim cudem znalazła się w Krakowie, aby wyjść za mąż za magistrackiego urzędnika. Zdażyła z nim mieć trzech synów, kiedy ten cichy, ujmujący człowiek zmarł na serce w wieku trzydziestu sześciu lat. Na fotografii miał ogromne, ciemne oczy, drobną, bladą twarz i czarne, podkreścone do góry wąsy. Ojciec mój mieszkał na tej samej ulicy - naprzeciwko. Miał może czterdzieści trzy albo czterdzieści cztery lata, kiedy umarła jego czeska żona, zostawiając syna i córkę. Matka mówiła, że był piękny, kiedy w letnią słoneczną niedzielę stawał na balkonie swojego mieszkania, wśród pelargonii i nasturcji, rozglądając się pogodnie i bez powodu. Zwłaszcza jego koszula była olśniewająca, biała aż do niebieskości, dopasowana ściśle do ciała. Tak więc kiedy się pobierali, mieli już pięcioro dzieci. Matka lubiła opowiadać, jak to kryła się ze mną przez pierwsze parę miesięcy, zanim objawiła ojcu radosną niespodziankę.

Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, jak to się odbyło w naszym dwupokojowym mieszkaniu. Czy ojciec siedział zamknięty w kuchni z pięciorgiem dzieci, czy wysłano je do sąsiadów, kiedy akuszerka wniosła mnie na dłoni. Ojciec, wściekły, zapytał: "Chłopiec czy dziewczynka?". "Dziecko" - odpowiedziała basem i zanurzyła mnie w wanience.

Pamiętam zapach matki, gdy pochylała się wieczorem nad moim łóżeczkiem, ubrana do wyjścia, wydekoltowana, ze sznurem pereł zwisającym z szyi. Kładła je ciężko na moich piersiach i ustami dziwnie małymi i wilgotnymi dotykała mojej buzi. Był to zapach perfum, słodkich, rozlewających się perfum. Zapach, który utkwiał mi w pamięci na zawsze, ponieważ nigdy już takiego nie spotkałem. Łóżeczko było żelazne, z siatką, która zamykała się z trzaskiem, odcinając mnie od bezpiecznego świata, gdzie wszystko było dostępne i pełne przestrzeni. Teraz trzeba było się kulić, wtulać w najdalszy kąt, przykrywać szczelnie aż po czubek głowy, by stać się niewidzialnym dla oczu wszystkich potworów i zmór, które przychodziły do mnie zaraz po zamknięciu oczu. Miały kształt przenikających się nawzajem ramion i rozwartych ust - chciały mnie połknąć, udusić, wchłonąć. Tylko raz jeszcze powróciły do mnie te sny - później, w okresie dojrzewania, inne, ale równie uporczywe. Wtedy prześladowały mnie formy mniej konkretne, obłe, cielesne, ale

bez twarzy, w ciągłym ruchu szukania najdogodniejszej pozycji do wzajemnego kontaktu, czułe, tulące się do siebie. Nie budziły grozy, ale męczyły ogromnie tym, że uciekały przed dotknięciem mojej dłoni, że nie dawały się objąć. Od tego czasu opuściły mnie sny albo straciłem umiejętność ich zapamiętywania. Ale te pierwsze, pełne zmór powodowały, że za każdym razem byłem bliski umierania i gdyby nie mój krzyk, wydarty ostatnim wysiłkiem woli i rozpacz, pewnie doszłoby do tego. Płakałem potem cichutko, szczęśliwy z odzyskanej rzeczywistości, czekając na ojca sakramentalne: "Chodź już, chodź". Biegłem w długiej aż do ziemi różowej koszulce, wślizgiwałem się dokładnie w tym miejscu, gdzie schodziły się dwa łóżka, potem, zagarniany przez matkę, ze szczęścia traciłem zmysły, zapadałem w sen bez snów.

A ojciec był rzeczywiście cudowny. Widzę go na końcu naszej ulicy, kiedy skręcając z placu na Stawach, idzie prosto w kierunku domu, coraz bardziej wyrazisty, wsparty na lasce, którą za każdym krokiem wyrzuca wysoko w górę, w kapeluszu na bakier, w szerokim rozpiętym palcie, z pakunkiem zwisającym na sznurku zaczepionym o środkowy guzik kamizelki. Płynął jak okręt, kołysząc się lekko na boki, a mnie zamierało serce z lęku i dziwnej ciekawości - co za jego powrotem spadnie na mnie nowego, olśniewającego. Pędziłem jak wariat na górę,

krzycząc od progu: "Ojciec idzie!", i dom w jednej chwili zamieniał się w ul rojny od czynienia porządków, ustawiania wszystkiego na swoim miejscu - jakby złapany na gorącym uczynku chciał zdażyć jeszcze zatrzeć ślady występku. Bo ojciec był wojakiem z temperamentu i powołania. Oficer Drugiej Brygady Legionów Polskich, uczestnik kampanii karpackiej, swą niewielką resztkę życia,

tę właśnie, którą wypełnił moje dzieciństwo, poświęcił innym, poza własnym domem. Działacz "Sokoła" krakowskiego, jeździł na zloty do miasteczek małopolskich, do Pragi czeskiej, przybrany w piękną czamare zwisającą z jednego ramienia, w paśowej koszuli, w butach z cholewami, w czapce z gołębim piórem pieczętowanym biało-czerwoną rozetą. Patronował klubom sportowym, uczył gimnastyki. W zapamiętaniu, bez chwili zmęczenia. Uciekał z domu o ósmej rano, by wracać - niekoniecznie tego samego dnia - późnym popołudniem albo wieczorem. I te powroty właśnie były jak powrót słońca. Rozpromieniony, oszalały z radości, obdarowywał nas jakimiś straszliwymi dziwadłami. Za dużymi albo za małymi butami, nie na tę porę roku, albo kwiatami zakłętymi w szklanych kulach, albo ciastkami w ilości mogącej pożywić kompanię wojska. Nie miał gustu, a może jeszcze bardziej wstydził się kupować. Brał wszystko, co mu podsunęto albo co wydawało mu się ładne, bez wybierania, w panicznym pośpiechu. Biedna matka musiała

10

używać podstępów, aby dowiedzieć się, skąd wytrzasnął dla niej na przykład niebieskie pończochy. Biegła potem do sklepu z pretensjami, domagając się zamiany: "Ten pan - mówiła sprzedawczyni - żądał tych z wystawy. Tłumaczyłam mu, że są spłowiałe od słońca, ale on oświadczył, że nic mnie to nie obchodzi". "Na drugi raz niech pani nie słucha wariatów" - oświadczyła matka.

Czy pamiętam ojca? Wyłania mi się tylko z mgły, z nierzeczywistości, w kilku miejscach, na chwilę. W sali "Sokoła". W czasie popisów gimnastycznych. Wśród widzów otaczających parkiet siedzi na wydzielonej ławce, pośrodku dłuższego boku prostokąta, w otoczeniu wąsatych panów, z których każdy ma założoną nogę na nogę, cwikiery na nosie i zwisające przy kamizelce dewizki od zegarków. Ojciec ma przyklejony do twarzy napięty uśmiech i od czasu do czasu, podczas oklasków po udanym ćwiczeniu, sprawdza, jakie wrażenie zrobiło to na sąsiadach. Albo w czasie świąt Bożego Narodzenia. Przed wojną w dniach Wigilii i Bożego Narodzenia zawsze padał śnieg. Zmierzch zapadał podobnie jak dziś koło wpół do czwartej i wtedy w blasku gazowych latarni można było zobaczyć tysiące tańczących płatków, które bardzo długo utrzymywały się w powietrzu, zanim z niechęcią kładły się na chodniku lub jezdni. Patrząc z okna ciepłego domu przez wychucha-ną "dziurkę" w zamarzniętej szybie, nie można

11

było oderwać oczu od tego białego wirowania. Na ulicy robiło się coraz ciszej, tak że kroków biegnących przechodniów nie było już słychać. A spieszyli się wszyscy. W dzień wigilijny było nie do pomyślenia, by po godzinie piątej pozostawać poza domem. Kiedy prześwit w szybie znowu wypełniał się szronem, wracałem do pokoju. Pachniał świeżą pastą do podłogi, czystością olbrzymiego stołu nakrytego białym obrusem i ledwie wyczuwalnym zapachem choinki. Nie było jej jeszcze. Stała, byłem tego prawie pewien, w sąsiednim pokoju zamkniętym na klucz, do którego wstęp był kategorycznie wzbroniony. Drzwi otwierały się nieskończenie później, po wigilijnej wieczerzy, kiedy z olbrzymiej tuby gramofonu, z szumu i char-kotu postarzałej płyty wybuchała kolęda.

Ale najpierw był ranek tego cudownego dnia. A właściwie świt. Zdumiewający jest świat widziany oczami nagle obudzonego dziecka. W ten niezupełnie jeszcze jasny dzień, rozświetlony sztucznie przez pierwszy śnieg. Ciężar snu opada tak nagle, jak gwałtownie zdarta zasłona z czarodziejskiego lustra i widzi się wszystko w ostrości jednoczesnej wszystkich planów. Włochatego konia na biegunach, ciepłą puszystość dywanu, przejrzystość firanek, śpiące jeszcze okna domu naprzeciwko, graficzną suchość zmarzniętych wokół niego drzew. Porażająca radość sprawia, że chciałoby się posiąść to wszystko naraz, wtulić w siebie, nikomu nigdy

12

nie oddać. Skąd się bierze to olśnienie, to samolubne przywłaszczanie świata, jakby dany był tylko nam i nam jedynie objawiony? Może z potwornie mocnego bicia serca, z krwi, która - słyszysz to - płynie zasobnie przez wszystkie arterie, dociera w niezmierzonej obfitości do policzków, brzucha, czubków palców. Albo z wcześniejszego wyroku, z którego wówczas, u zarania świadomości, nie zdajemy sobie sprawy, którego nie tylko nie przeczuwamy, ale o którym w ogóle nie wiemy, że zapadł. Że oto w tym ułamku sekundy, w tej jednej chwili niezawinionego uniesienia powiek zostaliśmy skazani na wieczną pamięć o piękności świata. Choć całe życie będzie temu przeczyć. Choroby, ciemnota naszego umysłu, brzydota i nikczemność ludzi, rozpaczliwa odległość Boga i codzienna bliskość zła - na tym jednym śladzie, na tym jednym porażającym skurczu pamięci oprzemy cały sens istnienia, nieustającą tęsknotę do miłości. Bo czymże innym, jeśli nie znakiem miłości jest owo pragnienie, aby choć raz otoczyć czułością wszystko: ludzi, przedmioty, niebo i ziemię. Ojciec siedział u szczytu wigilijnego stołu. Już przy barszczu z uszkami sytuacja była napięta. Wyszukana grzeczność dzieci i liryczne milczenie matki nie mogły zmylić nikogo. Katastrofa wisiała w powietrzu. Jedynie ojciec nic nie przeczuwał. Gadał i był szczęśliwy. I dokładnie wtedy gdy nasza wytrzymałość osiągała kres

13

- zawsze o tej samej porze, przy pierwszych kęsach smażonego karpia - ojciec przerywa w pół zdania, czerwienieje jak indyk, oczy wychodzą mu z orbit, rozpoczynając dziki taniec ściąga wraz z obrusem filiżanki i talerze, po czym uderzony w kark przez najbliższego pasierba w szalonych spazmach odzyskuje oddech. "Ta cholerna ryba" - brzmi w ustach ojca jak triumfalne bicie dzwonów. Na to właśnie czekaliśmy. Dalej leci już wszystko jak lawina. Babki, makowce, serniki, przekładance, boski strudel jeszcze gorący, pachnący jabłkami i cynamonem, wreszcie otwarcie zakazanych drzwi, a za nimi rozżarzona choinka, wielka, do sufitu, i prezenty, prezenty. A wszystko w obłędnej radości, śmiechu i łzach.

Była w naszym mieszkaniu nyża. Nie pamiętam, czy w jednym z pokoi, czy może w kuchni. Chyba w kuchni, która była olbrzymia i pełna zakamarków. W tej nyży stało łóżko, szerokie, przyparte do ściany, otoczone makatkami. Spały tam od czasu do czasu osoby spoza domu. Jakieś ciotki z prowincji, zapóźnieni koledzy braci albo szwaczka, która obszywała dom. Na dłuższy czas zajmowałem to łóżko ja, kiedy nawiedzała mnie gorączka. Na taborecie, tuż przy mojej głowie, siadywała siostra i przy naftowej lampie, bo elektryczność tam nie docierała, czytała mi książki.

Wtedy w każdym domu były jeszcze naftowe lampy. Najbiedniejsze wisały na gwoździach

14

wbitych w ściany mrocznych, zagraconych pomieszczeń. W piwnicach albo na strychach. Nieduże, wsparte o metalową tarczę, miały zakopcone szkiełka, szcerniały knoty i przysadziste zbiorniczki na naftę. Świeciły tak, jak wyglądały - nikłym, niedomówionym światłem. Dlatego aby zajrzeć do miejsc szczególnie skrytych, trzeba było zdejmować je ze ścian. Ostrożnie, powoli, koniecznie w pozycji pionowej, wędrowały wśród kurzu i pajęczyn, kładąc się ostrą teraz smugą na dziwacznych, fantastycznych przedmiotach. Żelaznych konstrukcjach zapomnianych łóżek, narzędziach do niczego nie służących, rozprutych, porzuconych lalkach, na ciągle jeszcze kolorowych zwałach drewnianych pak po egzotycznych kolonialnych wiktuałach, na spiętrzonych do sufitu wilgotnych stertach granatowych węgli, skrzyniach porośniętych już ziemniaków albo na beczkach z kiszoną kapustą na zimę, nakrytych deseczkami przywalonymi olbrzymimi kamieniami. Potem, zdmuchiwane dokładnie przez niosących je ludzi, zawisały znowu na ścianie, porzucone nie-czułością, zatrzaśnięte drzwiami, zamknięte na wielkie zardzewiałe kłódki. Te na wolności, w salonach i sypialniach rozległych mieszkań, były wspaniałe. Zwisały z sufitu nad jadalnymi stołami, stały na nocnych stolikach po obu stronach małżeńskich łóżek albo przy głębokich, miękkich fotelach, gdzie najwygodniej było czytać i zasypiać w atmosferze tej szczególnej bez-

15

troski, kiedy pamięć spożytego obiadu nie pozwala myśleć o niczym. Lampy te prześcigały się w urodzie. Majestatyczne wielkością, zmysłowe wyszukaną formą, walczyły o oryginalność, o niepowtarzalny, sobie tylko właściwy wyraz. Jak to się działo, że prawie niepodobieństwem było spotkać dwie takie same. Czy tylu było pomysłodawców, rzemieślników, aby spośród tysięcy nie znaleźć sobie podobnych? In-krustacje naftowych zbiorników z różnobarwnego szkła miały postać róż, lili, bławatków łączonych splątanymi łodygami. Na wpół ubrane damy z włosami upiętymi w kok omdlewały secesyjnie na szezlongach, kanapach, pośród zwiewnych muślinów i drapowanych jedwabów. Pękate amorki zawieszane na błękitnym niebie dmuchały wzdętymi policzkami w srebrzyste albo złote trąby, zwiastując pochwałę miłości. Nad zbiorniczkami tkwiły szkiełka mieniające się przezroczystością, smukłe albo subtelnie wybrzuszone, a w nich serca lampy - naftowe płomyki, na które można patrzeć śmiało, bez zmruczenia powiek, dające tylko tyle jasności, ile trzeba dla wydobywania z mroku miejsca, które oświećtały. I wreszcie wieńczące klosze. Najbardziej wyrafinowane, bo najbardziej odpowiedzialne za ostateczny kształt i urodę. Zawieszane niezależnie nad korpusem lampy albo umieszczone na metalowych kręgach, ściśle wkomponowanych w całość konstrukcji. Forma ich miała dać ostateczną odpowiedź na sens

16

pomysłu twórcy i zaświadczyć o jego guście. Były więc klosze skromne, z białego, mlecznego szkła, jak obcięte górne połowy butli przeznaczonych do przechowywania octu albo fermentacji owocowych win. Inne, o kształtach olbrzymich odwróconych talerzy albo owalnych firanek ze szklanych

dzwoniących wisiorków, albo przygiętych ciężarem dojrzałości tulipanów - mieniły się wszystkimi kolorami świata, chcąc za wszelką cenę dać świadectwo jego bogactwa.

Światło żadnej z tych lamp nie padało na mojego ojca, kiedy widziałem go po raz przedostatni. Choć nie jestem pewien, czy go widziałem. Zaciera mi się w mroku, w oddaleniu, w niedostępności. Bo przecież gdybym mógł być blisko niego, gdyby porażający strach nie bronił mi dostępu, pamiętałbym dotyk jego rąk albo jego słowa, albo niemożność ich wypowiedzenia. Wiem tylko, że cierpiał ponad siły, że potem w miarę upływu godzin cichł coraz bardziej, jakby przygotowując się na przyjęcie czegoś, co ma nadejść, a co trzeba przywitać w milczeniu.

A może było inaczej. Może to on mnie odepchnął, uciekł, skrył się przede mną w kuchennej nyży, w najdalszym kącie świata i zgasił wszystkie światła, żebym nie mógł zobaczyć jego brzydoty i poniżenia. Tak. Wszystko wtedy działo się poza nim. W jego obecności, ale poza nim. Lekarz pochylony nad łóżkiem,

17

a potem w przyciszonej rozmowie z matką, gdzieś w przedpokoju, już koło drzwi wyjściowych. My wszyscy bez słowa krążący po mieszkaniu, zamarli, kiedy w szalonym pośpiechu wpadli sanitariusze z noszami i wynieśli go okrytego pledem, jakoś tak krzywo, przekrzywionego, w ciemność schodów. Był chyba piątek. Na pewno. Bo potem przez długie jeszcze lata myślałem sobie, że w tym dniu, co Chrystus. Albo w tydzień przed, albo po Wielkim Piątku, w kwietniu. Padał deszcz, kiedy wieczorem jechałem z matką dorożką do szpitala na ulicę Kopernika. Nienawidzę tej ulicy. Od kościoła Świętego Mikołaja aż do jej końca po obu stronach ciągną się szpitale. Brzydkie, zimne, sterylne, w oparach karbolu i zawsze w deszczu. Stoją obok siebie osobno, do wyboru, zapraszająco, ale ich bramy wyglądają tak, jakby otwierały się tylko do wewnątrz. W zakrytej budzie dorożki matka trzymała mnie za rękę i płakała. Mówiła, żebym się nie bał, że ojciec wygląda pięknie, jakby spał, że zawsze był piękny, że powinienem być z niego dumny, tylko że się nie szanował, nie słuchał, choć tyle razy prosiła, błagała.

Zatrzymaliśmy się pod numerem piętnastym albo dwudziestym pierwszym. Portier, który zamykał za nami bramę, wyglądał jak obudzony ze snu. Szliśmy szerokimi schodami na piętro w zupełnej ciszy. Od momentu otwarcia drzwi wszystko wydawało mi się ogromne

18

i przerażająco puste. Przestrzeń pokoju, okna, za którymi nie było nic, łóżko, na którym leżał. Tylko on sam był niewielki. O wiele mniejszy niż za życia. Leżał na wznak, miał zamknięte oczy i dolną szczękę zaciśniętą opaską. Matka poprawiła mu ręce leżące na kocu, a ja ukląknęłam na ceratowej podłodze, blisko jego głowy i miotany dreszczami płakałam. Miałem dziesięć lat.

Zwierzyniec

Zwierzyniec, a ściśle Półwie Zwierzynieckie, jest, jak wiadomo, w Krakowie. Na Zwierzyńcu zaś Wzgórze Salwatorskie. U jego podnóża, gdzie rzeka Rudawa wpada do Wisły, stoi kościół i klasztor ss. Norbertanek. Trochę wyżej nad nimi budowla drewniana i okrągła, bardzo tajemnicza i niedostępna, o której zawsze się

20

mówiło, że jest starosłowiańską gontyną. Jeszcze parę kroków w górę, po prawej stronie, na niewielkim dziedzińcu biały kościół Świętego Salwatora. W tym zakątku właśnie, u stóp wzgórza, wśród dziesiątków sadów, straszliwie bogatych w czereśnie, jabłka, gruszki i śliwki, gnieździły się wille, omszałe, starożytne, strzeżone przez psy, a mieszkańców tych domostw, przynajmniej za mojego dzieciństwa, nikt nigdy nie widział. Nic więc dziwnego, że w tym miejscu zatopionym w wiecznym cieniu miały swoje siedlisko wszystkie strachy świata. Wampiry, pożeraczki niemowląt, nocni dusiciele. To stamtąd wyruszały, aby na nas polować jesienią albo słotną zimą, kiedy rodzice wieczorem zostawiali nas samych w pustych mrocznych mieszkaniach, albo kiedy na nas, zapatrzonych w migotanie świec w bocznych nawach kościołów, z ram obrazów wychodzili brodaci święci, by grozić piekłem za zatajone grzechy, albo kiedy zmrok zapadał tak prędko, że już nikogo nie było na ulicy i musiało się biec do dalekiego jeszcze domu tunelem otwartych, czarnych bram kamienic. Toteż ciągnęło nas w to salwatorskie osiedle, aby poprzez szpary w sztachetach, rozsunawszy kryjące widok zarośla, ujrzeć wreszcie, jak w biały dzień wyglądają upiory. Ale ledwo drgnęła zasłona jakiegoś zapomnianego okna albo z trudem zaczęły się uchylać nie otwierane nigdy drzwi - brałiśmy nogi za pas i uciekaliśmy jak ścigane

21

i

zające. A było gdzie uciekać. Poniżej, od pętli tramwaju numer sześć, który tam kończył swój bieg i szykował się do następnego najazdu na śródmieście, szła wzdłuż koryta Rudawy wesoła ulica Królowej Jadwigi. Na początku zabudowana ubogo i niezbyt urodziwie niskimi kamieniczkami z czerwonej cegły albo wiejskimi jeszcze chałupami. W miarę pokonywania drogi w kierunku Woli Justowskiej zaludniała się coraz schludniej szymi, bardziej nowoczesnymi willami. Te po prawej stronie sytuowały się blisko rzeki. Te po lewej unoszone zboczem wzgórza świeciły czystością tynków i kolorowymi kwiatami ogrodów. Miały też inną fascynującą atrakcję. Kiedy śledziło się dłużej tajemnicę ich mieszkańców, można było się doczekać, że jedna z większych bram, która nie mogła być ani drzwiami wejściowymi, ani tym bardziej piwnicznym zamknięciem - otwierała się majestatycznie i z ciemnego wnętrza wynurzał się nagle wspaniały potwór na czterech kołach, lśniący srebrzystymi szprychami, niklem ciągnących się w nieskończoność okuć, sklepiony maską silnika zapinaną na wspaniałe klamry jak ozdobna skrzynia kryjąca niezmierzone skarby. Otwarty dach zwinięty na tył wozu jak porzucony niedbale kosztowny płaszcz odkrywał obite brązową albo jasno-beżową skórą siedzenia, obszerne, głębokie, które wyglądały tak, jakby tolerowały na sobie tylko wytworne ciężary. Panów w obcisłych

22

garniturach z kamizelką w innym kolorze, w jasnych albo sztuczkowych spodniach, w trzewikach nieskalanych błotem, lśniących od pasty wartej

irchowym gałgankiem. Panie spowite w miękkie płaszcze zwieńczone futrzanym kołnierzykiem opasującym ciasno długą, nieco podaną do przodu szyję. Główki tych pań, niezależnie od tego z jakiego samochodu wyglądały, były jednakowe, nie do odróżnienia. Przycięte krótko włosy, prawie zawsze czarne, okalały buzię ścisłym, dopasowanym do głowy, gładko odprasowanym hełmem. Obcięte równo nad oczami, po obu bokach zawijały się skręconymi ku górze cienkimi kosmykami kryjącymi uszy, czyniąc z twarzy plamę w kształcie przyrządzonego do zjedzenia jajka na twardo. Na powierzchni tej białej tarczy dominowały trzy akcenty: uniesione w geście zdziwienia, bezwłose, cienko narysowane brwi, czarne, wyodrębnione grubą czarną szminką, patrzące zawsze spod rzęs oczy i usta pieczętowane maleńkim, karminowym serduszkim. Pasażerów tych aut nie widywało się spacerujących wałami Rudawy. Ani wśród kupujących na placu Na Stawach, na codziennym targowisku rojnym od bab z okolicznych wiosek, odmierzających pokrywkami od blaszanych baniek świeżutkie mleko prosto od krowy, oferujących w liściach chrzanu osetki masła pięknie rzeźbione, zroszone kroplami wody, albo jajka z wyścielanych sieczką koszyków, tak duże, że już nigdy potem

23

takich nie spotkałem. Nie widywało się też tych ludzi na mszach niedzielnych w parafialnych Norbertankach, ani nawet w procesji Bożego Ciała, kiedy co najprzedniejsi zwierzynieccy obywatele dzierżąc baldachim nad Przenajświętszym Sakramentem, odświętnie ubrani, godni, świadczyli o tradycji i przynależności do naszej zamkniętej społeczności.

O tych nieobecnych-niedostępnych snuło się natomiast opowieści. O ich domniemanych bogactwach i o ich rozwiązłości. O córeczkach kształconych w ekskluzywnych szkołach przy-klasztornych albo o synalkach od maleńkości ubieranych w dorosłe garnitury z długimi spodniami, w białe koszule z muszkami pod brodą, synalkach wysyłanych potem do dalekich miast dla nabrania ogłady, na pobieranie nauk, na kosztowanie wielkiego świata. Kim byli ci ludzie. Kim byli dla nas. Na pewno jedną z fascynacji, pożywką dla wyobraźni, która lubi w tym wieku tworzyć fantastyczne fabuły o nieprawdopodobnych przygodach ludzi, o ich nadludzkich możliwościach. Gdyby nie ta skłonność do obcowania z nie-rzeczywistością, gdyby nie ta cudowna dyspozycja do tworzenia fikcji, którą dobry Bóg obdarzył właśnie dziecko - dotąd nie latalibyśmy po niebie, ani nie dotarlibyśmy do głębin oceanów.

Ale mieszkańcy tych domów pełnych kwiatów, właściciele tych wspaniałych maszyn,

24

kojarzyli nam się jeszcze z czymś bardziej realnym, bliższym ziemi. Stanowili rzeczywisty kontakt ze światem nieznanym, który, byliśmy tego pewni, gdzieś tam istniał naprawdę.

Do jakiego stopnia sprostął on naszym domniemaniom, a o ile różnił się od naszych o nim wyobrażeń - mieliśmy się dowiedzieć znacznie później. Ale faktem jest, że próba dotarcia do tego świata, ambicja uczestniczenia w nim, a nawet wzięcia go w posiadanie, zrodziła się wtedy, tam, w wytrzeszczonych, chłonnych oczach dzieci.

Choć już teraz muszę zdradzić, że w końcu dobrnę do jednego z tych niedostępnych domów, zostaną wpuszczony do wnętrza i na długo pozostanę jego gościem - ale to dopiero za parę dobrych lat, w czasie wojny. Przyjdzie mi się tam zatrzymać, aby zwierzyć się ze stanu pół snu, pół jawy - z pierwszych uczuć czegoś nieokreślonego i porażającego - z czasu dojrzewania, który definitywnie i nieodwołalnie pozostawi za sobą cudowny świat dzieciństwa. Tymczasem trzeba było uciekać dalej, w górę Rudawy, aż za czwarty most. A za czwartym mostem kończyło się miasto i z nim poczucie przynależności do sprawdzonych miejsc i znanych ludzi.

Kiedy mimo to pędziło się dalej, to po pierwsze dlatego, że droga, piaszczysta, zakurzona ścieżka biegnąca grzbietem wałów Rudawy, niosła nas samą sobą, a po drugie mieliśmy wytknięty cel - za każdym razem ten sam

25

- dotarcia za wszelką cenę do źródeł rzeki, miejsca skąd wypływa.

Kto nie dotknął gołymi stopami ziemi pokrytej grubym dywanem kurzu, ten w ogóle nie doznał rozkoszy dotyku. Kurz jest ciepły i bezinteresowny. Pozwala się rozdeptywać, maltretować i nie tylko się nie broni, ale jeszcze tak zwanymi tumanami, które za każdym naszym stąpieniem wznosi, daje radosne przyzwolenie naszej brutalności. Nigdy nie dotarliśmy do źródeł Rudawy, nawet do szóstego mostu; piąty był kresem naszej wytrzymałości. Padaliśmy ze zmęczenia a wokół nas nie było już nikogo. Wtedy dopiero okazywało się, że od pierwszej chwili, od startu spod Wzgórza Salwatorskiego, do niczego innego nie zmierzaliśmy. Bo kiedy leży się w trawie zielonej i nie stratowanej, wśród pól kolorowych od różnaitości zbóż, warzyw i owocowych drzew, kiedy oddech i szybkie bicie serca na tyle się uspokajają, aby usłyszeć granie owadów, kiedy słońce wybiera wyłącznie nas, aby okryć swym ciepłem i wonną chmurą zapachów - wtedy się wie, jest się pewnym, że nic już nie zagraża, że strach był tylko urojeniem.

Słońce przesunęło się znad kopca Kościuszki nad lasy Woli Justowskiej i za chwilę za nie zajdzie. Trzeba wracać do domu, najszybciej i najkrótszą drogą, zanim zapadnie zmierzch. Najlepiej przekątną Błoń, od Cichego Kącika do stadionu Cracovii.

26

Krakowskie Błonia. Nigdy nie liczyłem, ile mają morgów i dotąd nie wiem, może dwieście, a może dwa tysiące. Są w kształcie trójkąta, którego podstawą są właśnie wały Rudawy, a wierzchołkiem wylot ulicy Wolskiej. Jednym bokiem przylegają do długiego pasma zieleni parku Jordana, boiska Wisły, stadionu AZS-u, drugim - do zachodnich zabudowań mojego Zwierzyńca. Nie odznaczają się niczym szczególnym. Rośnie na nich trawa i wszystkie z trawą związane kwiatki świata. A przecież te Błonia były i są jednym z firmowych znaków Krakowa, jak Wawel, kościół Mariacki, Sukiennice, Wisła czy Planty. Już na wiosnę, a potem w ciągu lata, a pory te przed wojną były zawsze pogodne, gdzieś koło ósmej rano naprzeciwko mojego mieszkania po drugiej stronie ulicy otwierało się okno na poddaszu i ukazywała się głowa mojego przyjaciela. Miał jasne włosy, teraz złane wodą po porannej toalecie i małym grzebieniu, który niknął w jego dłoni, wyznaczał w nich przedziałek. Ani jeden włoszek nie przecinał precyzyjnie wypracowanej dróżki między mniejszą i

większą częścią czaszki. Tak pięknie ulizany dawał znak, że czas już wyjść z domu. Kopało się wszystko, kamienie na drodze, szmacianki, zszywane ze starych szmat w jako tako foremne kule, zośkę, to jest kawałek metalu, najlepiej ołowiu - ubranego kunsztownie w sukienkę z włóczki. Gra polegała na podbijaniu jej nogą w nieskończono-

27

ność, to jest do czasu kiedy nie "zeszła" z nogi i nie spadła na ziemię. Miała to do siebie, że podbita wzbijała się w górę za pomocą włóczkowych frędzli, a spadała zawsze metalowym ciężarkiem. Rekord naszej dzielnicy do wojny wynosił sto dziewięćdziesiąt osiem bez skuchy. Ale marzeniem była oczywiście prawdziwa skórzana piłka nożna. Nikt z nas, o ile pamiętam, nie miał jej na własność, nie stać nas było na ten luksus. Ale znajdowała się jakoś, prawdopodobnie z wykopanych już doszczętnie zapasów sąsiedniej Cracovii. Składała się z dwóch części, pokrowca i szlauchu.

Ważne to rozróżnienie, zważywszy, że rzadko nam było dane mieć je w komplecie. Zawsze jednak jakoś się udawało i można było rozpocząć ceremoniał ostatecznego zmajstrowania piłki. Cała reprezentacja ulicy z napięciem śledziła głównego majstra, który przez otwór w pokrowcu wciskał gumowy szlauch tak, aby cycek pozostał na zewnątrz, po czym przez niego rozpoczynało się pompowanie, na ogół pompką od roweru, aż do odpowiedniej twardości. I wreszcie najtrudniejsza czynność - wiązanie sznurkiem cycka po odłączeniu pompki, tak aby nie uronić ani jednej cząstki zawartości powietrza. Wepchnięcie cycka do wewnątrz i zasznurowanie otworu wieńczyło dzieło. Ruszała kawalkada chłopaków na całą szerokość ulicy, a podawana z rąk do rąk i od nogi do nogi piłka, dla sprawdzenia wysokości kozła

28

i siedzenia na bucie, wypuszczona wreszcie na dalekiego fora wyznaczała zawsze ten sam kierunek: przestrzeń Błoń. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek doznał podobnego uczucia radości, podniecenia, które bierze się z nieograniczonej pojemności płuc, sprawności nóg i całego ciała, z pewności sukcesu - jak wtedy kiedy naprzeciwko nas z równi Błoń zaczęła wynurzać się grupa innych chłopaków z innej ulicy, z którymi mieliśmy rozpocząć bój. Co jest w tej piłce, że siedzi w nas do końca życia i nawet kiedy już dawno przestaliśmy ruszać nogami, fascynuje.

Że rządzi się podziwu godną techniką, która wymaga od piłkarza szczególnej sprawności, od przyswojenia umiejętności trzymania piłki przy nodze, panowania nad jej krągłością, znajomości własnych stóp, w których każda część ma swoją odrębną dynamikę, do jasności widzenia całego boiska i w związku z tym wybrania odpowiedniego wariantu zagrania - o tym wszystkim wiemy. I wiemy, że od stopnia tej technicznej doskonałości zależy poziom piłkarskiego widowiska. Ale przecież inne dyscypliny wymagają nie mniejszej, a niekiedy o wiele wyższej sprawności, jak na przykład gimnastyka sportowa, a ich widownia ani nie składa się z miliardów ludzi, ani nie popada w stan amokalnej ekscytacji, jak to ma miejsce w piłce. Musi być więc coś, co ją, jeśli można tak powiedzieć, wyróżnia. I myślę sobie, że tym czymś

29

jest fakt równie oczywisty, co fantastyczny. Piłkarski mecz daje nam okazję do oglądania z bardzo bliska bitwy, bitwy w pełnym znaczeniu tego słowa, bo rządzącej się zasadami strategii wojennej. Wszystko w niej jest. Wstępne harce, służące do zbadania możliwości bojowych przeciwnika, próby ataków małymi siłami, wypadki w głąb linii obronnej wroga, generalne ofensywy podjęte z pewności przewagi albo z determinacji w obliczu klęski, dbałość o zabezpieczenie własnych tyłów, od krycia poszczególnych napastników do skomasowanej defensywy. I broń zasadnicza - strzały - tak właśnie się nazywają i mają miejsce po wypracowaniu najdogodniejszych pozycji dla ich celności. Wszystko to jest prawdziwą bitwą. Z jedną tylko różnicą, że nam, siedzącym na widowni, spokój sumienia gwarantuje pewność, że nikt w tej wojnie nie zginie. Że to, co jest przedmiotem ataków, to nie szaniec najeżony armatami i determinacją kanonierów, ale jedynie prostokąt bramki zamkniętej siatką i jeden człowiek broniący do niej dostępu.

Kto nigdy nie grał w piłkę, ten nie wie, czym jest bramka. Jak jest wściekle obszerna dla bramkarza i jak wąska i niska dla tego, kto ją atakuje. Jakiego treningu wymaga od bramkarza, aby szybkością i skocznością zwiększającą objętość ciała, długość ramion i nóg, mógł uzyskać poczucie zawężenia pola obrony, przybliżyć do siebie słupki wyznaczające szerokość, obniżyć

30

poprzeczkę znaczącą wysokość bramki. Jaki stres spada na napastnika decydującego się na strzał, wszystko jedno czy z największej odległości, kiedy musi się przedrzeć przez las nóg, znaleźć lukę między nimi a jedynym nie strzeżonym jeszcze punktem bramki, czy z czystej pozycji, uwolnionej od obrońców, kiedy ostatnią przeszkodą do zdobycia bramki pozostał bramkarz. Prawie zawsze stres odbiera mu połowę umiejętności i skazuje albo na maksymalną siłę uderzenia, albo prerafinowaną chytrą, w obu wypadkach kierującą piłkę poza światło bramki.

Dlatego zawodnikom bramka się śni. Prawdziwym snem. Kiedy każda obrona kończy się efektowną robinsonadą, a każdy strzał jest nie do obrony - w sam róg, albo pod poprzeczkę.

Można by podważyć tę moją wojenną teoryjkę argumentem, że wiele innych gier zbiorowych rządzi się taką samą strategią. Będę się jednak upierał przy wyjątkowości futbolu. Rzut do kosza czy ścięcie piłką siatkową mają miejsce w ciągu meczu tyle razy, że natura gry przestaje być trudem walki rozciągniętej w czasie, umożliwiającej zbudowanie dramaturgii, a staje się tylko popisem szybkości, grą i tylko grą, jak dziesiątki innych gier sportowych, w których fizyczna sprawność zawodników staje się głównym przedmiotem naszego zachwyty. A właśnie dramaturgia, o której mówię, mieszcząca się klasycznej formule poetyki Arystotelesa,

w

32

z ekspozycją, kulminacją i katastrofą, trwająca w trzech jednościach, czasu, miejsca i akcji, dramaturgia, która ma niewątpliwie miejsce na meczu piłkarskim, nam, widzom, daje szansę wyjścia wyobraźnią poza sportowe widowisko.

Tak, ten całkowicie abstrakcyjny pomysł człowieka na grę w piłkę nożną, na sformułowanie jej zasad w ścisłym kodeksie przepisów, sprawił, że obcowanie z tym zjawiskiem stało się nam tak potrzebne jak kontakt ze sztuką.

A wtedy kiedy biegaliśmy po Błoniach, uganiając za piłką, nie przeczuwaliśmy nawet, że za kilkadziesiąt lat zawładnie ona całym światem. Że turnieje wielkich klubów i wielkich państwowych reprezentacji zatrzymają tok codzienności na czas swoich rozgrywek i dadzą szansę ludziom na refleksje o innych, niż wzajemne zabijanie się, możliwościach pojmowania życia.

Wracaliśmy do domu zziębnięci i szczęśliwi, że udało nam się ten czas zabawy wykraść przymusowi obowiązków, konieczności jedzenia, spania i nauki.

A poza piłką? Gdybym chciał w syntetycznym skrócie, a ściślej w tym, co zanotowała moja niepamięć, określić czas od wczesnych sygnałów kształtowania świadomości do daty wybuchu wojny, cezury zasadniczej dla mojego pokolenia, cezury brzemiennej w nieopisane skutki, powiedziałbym, że był to czas szkoły i Kościoła. \

Szkoła

Na początku chciałbym kategorycznie przypomnieć, że wszystko w Krakowie jest starożytne.

To, że mądrzy ludzie i dobry Bóg zrobili wszystko, aby to miasto trwało w tym samym miejscu przez tysiąc lat mimo różnych żywiołowych zagrożeń i pomnażało swój dorobek, dało rezultat olśniewający i bezcenny - stało się żywym uosobieniem tradycji. Jest widowym dowodem, że trwanie, uporczywe trwanie jest podstawowym gwarantem rozwoju, zasadniczym pokarmem postępu. Bo czymże jest tradycja, jak nie wiedza. Sumą pamięci gromadzącej kolejne doświadczenia, wyselekcjonowanym katalogiem dokonań i przez ten fakt drogowskazem dla nowych myśli, wskazówką dla twórczych wyborów, które właśnie w oparciu na wiedzy już znanej pobudzają instynktowne pragnienie inności.

Do szkoły chodziło się dwanaście lat, sześć lat do powszechnej, cztery do gimnazjum i dwa lata do liceum. Mój rocznik był pierwszy po reformie. Poprzednio obowiązywał dwustopniowy

34

program nauczania, cztery lata szkoły powszechnej i osiem klas gimnazjum. Do pierwszych czterech w mojej szkole powszechnej chodziło się na ulicę Smoleńsk, dwie ostatnie klasy mieściły się w barakach przy alei Krasińskiego, niedaleko mostu Dębnickiego. Była imienia świętego Jana Kantego i cieszyła się dobrą sławą. Nie wiem, kiedy została założona, choć przecież mógłbym się dowiedzieć, wiem tylko, że święty Jan Kanty leży w najpiękniejszym krakowskim baroku, w kościele Świętej Anny, przy ulicy Świętej Anny.

Corocznie w dniu jego imienia, obchodzonym uroczyście, odwiedzaliśmy jego alabastrową trumnę. Ze szkoły powszechnej nie pamiętam nic. Może tylko księdza katechetę, który odznaczał się tym, że był bardzo poczciwy i że na skutek równoczesnego nauczania w szkole dla głuchoniemych miał zwyczaj podpowiadać nam odpowiedzi na swoje pytania na migi, rękami. Dzięki niemu zapamiętałem do dziś, co Pan Jezus powiedział świętemu Piotrowi w kwestii zleconej mu ziemskiej posługi. Mianowicie: "Co - tu ksiądz katecheta wykonywał szybki młynek dłońmi wokół siebie - zwiążesz - wskazywał wyraźnie palcem w dół - na ziemi - znowu młynek dłońmi - będzie związane - palec w górę - w niebie". I zapamiętałem jeszcze, że w tej szkole nie trzeba było niczego się uczyć. Jakoś tak się działo, że nabywana wiedza sama wchodziła do głowy. Przyczyną tego błogostanu była okoliczność, że dzieci wte-

35

dy czytały. Czytały w domu książki kupowane przez rodziców albo pożyczone od kolegów. Było ambicją znać podstawową lekturę danego okresu głównie po to, aby móc się ścigać z innymi znajomością wyczytanej wiedzy. Na początku były oczywiście bajki - Andersena, braci Grimm, Marii Konopnickiej, niejakiego bardzo wspaniałego pana Wyrobka, czeskiej Bożeny Niemcowej. Potem na firmamencie zajaśniał Kornel Makuszyński. I coraz więcej i coraz dojrzalej. Walery Przyborowski, Karol May, Cooper, Stevenson, Curwood, London, Kipling, Amicis, Molnar, wreszcie Quo Yadis, Krzyżacy i, po raz pierwszy w dwunastym roku życia, korona wszechrzeczy, Trylogia. Jak wiadomo, wszystko już o Trylogii powiedziano. Od zachwytów na temat talentów Sienkiewicza w konstruowaniu fabuły, mistrzostwa w kreowaniu postaci i rozmachu malarskiej wizji w tworzeniu pejzażu itd. itd. - do odsądzania pisarza od czci i wiary za fałszerstwo historyczne, naiwny prymitywizm głównych bohaterów, za infantylny gust. Nie mam ani kompetencji, ani zamiaru dodawać swoich trzech groszy do sporu uczonych w tej sprawie. Muszę jednak powtórzyć to, co też zostało stwierdzone, a co umyka wszelkiej ocenie. Dzieło Henryka Sienkiewicza stało się dla mojego pokolenia własnością duchową, jak polska książeczka do nabożeństwa, jak polski krajobraz ze słotną jesienią, śnieżną zimą, kwietną wiosną i latem z płaczącymi wierzbnymi

36

i pęczniącymi od dostatku zbożami. Czy to dobrze, czy źle? Chyba dobrze, że mamy coś własnego, co niepowtarzalne, i jak idiom nie dające się przetłumaczyć na żaden inny język świata bez utraty tego szczególnego wizerunku rzeczywistości, który bierze się z naszych historycznych uwarunkowań, narodowego charakteru, słowem - z tej a nie innej szerokości geograficznej. Ale prawdą jest także, że my, którzy z tego dzieła czerpaliśmy bezkrytycznie i z pełną wiarą w spisowaną prawdę, zostaliśmy zaszczepieni chorobą. Chorobą o początkowo łagodnym przebiegu, ale pozostawioną bez leczenia, w skutkach tragiczną. Przecież nie skądinąd a przede wszystkim z Sienkiewicza, z jego kodeksu patriotyzmu, wzięła się u nas wiara w naszą mocarstwo-wość, w niezwykłą siłę naszego oręża, w posłannictwo w obronie wiary i wszystkiego co szlachetne przed najazdem wszelkiego autoramentu barbarzyńców. To z tego powodu nie trzeba nas było namawiać, abyśmy w roku trzydziestym ósmym wyszli na ulicę pod pomniki naszych bohaterów z transparentami i krzykiem: "Prowadź, wodzu, na Kowno i Zaolzie".

Abyśmy potem w trzydziestym dziewiątym z radością, w cudownym poczuciu niezagrożenia, my, szesnastoletni, zarzucili karabiny na ramię i poszli na wojnę. By w końcu w czterdziestym czwartym w Warszawie, już bez broni, ale z dziedzict-

37

wem tych samych ideałów w sercu, runąć na wroga i oddać się śmierci tak gigantycznej, jakiej świat nigdy nie widział i - aby dopełnić miary tragizmu - nie chciał zobaczyć.

Pójdę na wojnę jak wszyscy moi rówieśnicy. Ale zanim to się stanie, muszę skończyć gimnazjum.

Nie pamiętam, czy trzeba było do niego zdawać, czy też wystarczyło świadectwo ukończenia szkoły powszechnej, dość że dostałem się do najwspanialszego w Krakowie, naznaczonego 350-letnią tradycją - I Gimnazjum imienia Bartłomieja Nowodworskiego. Stało przy placu Na Groblach, dwieście metrów od Wawelu. Po przekroczeniu tego gmachu zostałem poinformowany, że moimi starszymi kolegami byli między innymi Jan (III) Sobieski, Stanisław Wyspiański, Jan Matejko. W środku znajdowały się schody dość strome, rozchodzące się na piętrze w dwóch przeciwnych kierunkach, korytarze przestronne z wysokimi oknami, klasy obszerne i trochę ciemnawe, pewnie na skutek zieleni za oknami.

Sercem szkoły była aula, uroczysta, odświętna, miejsce wszystkich akademii "ku czci", teatralnych wewnątrzuczelnianych przedstawień i przede wszystkim nabożeństw, w niedzielę bowiem aulą władał ksiądz katecheta i co tydzień mieliśmy możliwość potwierdzać liturgią to, czego dowiedzieliśmy się na lekcjach religii. Znowu nie pamiętam, czy ta aula w godzinach

38

lekcyjnych była salą gimnastyczną z drabinkami przy ścianach i sprzętem do ćwiczeń, maskowanych na czas szkolnych uroczystości, czy też mieliśmy ją osobno na dole, na parterze, a może na poziomie suterenu. Wiem tylko, że był to drugi co do wielkości obiekt szkoły. Wtedy ćwiczyliśmy trzy razy w tygodniu i gimnastyka była przedmiotem zaliczanym do ogólnej oceny. Obowiązek ten w pełni aprobowaliśmy. Nie dość że stanowił pożądaną przerwę w nauce przedmiotów nękających nasze tępe głowy, to jeszcze proponował pasjonującą zabawę - uczyliśmy się i graliśmy w kosza i siatkówkę, a opanowanie tych dyscyplin miało charakter docelowy. Szło o mistrzostwa wszystkich krakowskich gimnazjów, co roku rozgrywanych w prawdziwych halach sportowych. Dostanie się do reprezentacji gimnazjum było wyczynem, rywalizacja między drużynami zapierała dech w piersiach.

A czego uczono jeszcze? Ano wszystkiego, tak jak dzisiaj. Tyle że w naukach ścisłych tego "wszystkiego" było nieporównanie mniej. Nie tylko dlatego, że ogólny zakres wiedzy w tych przedmiotach był wówczas szczuplejszy, ale głównie z powodu przyjętego przez szkołę kierunku nauczania. Gimnazjum Bartłomieja Nowodworskiego było humanistyczne, a nazwa ta oznaczała dokładnie to, co przez wiedzę humanistyczną należało rozumieć. Chodziło nie tylko o opanowanie wiadomości z dziedziny

39

języka polskiego, historii, geografii czy biologii, ale przede wszystkim o wpojenie świadomości, że tylko suma tej wiedzy, wzajemne tych przedmiotów przenikanie i współzależność dają szansę na ukształtowanie poglądu o obecności człowieka, o sensie jego egzystencji, na poszerzenie wyobraźni w stopniu umożliwiającym ogląd świata w jego globalnym wymiarze. To stamtąd, ze światła tej wspaniałej uczelni, z talentów jej świetnych nauczycieli mogę czerpać pewność, że wychowanie w duchu humanistycznym to dochowanie się człowieka z takim poczuciem godności, jakie wynika z przekonania, że najwyższą wartością doczesną jest drugi człowiek. Człowieka, który by z nauki religii wyniósł wiarę w pożytek czynienia dobra oraz poczucie hierarchii, świadomość nadrzędnej tajemnicy, będącej drogowskazem życia. Który by z nauki łaciny przyswoił sobie niezachwiane kryteria harmonii i piękna uporządkowanego, logikę myślenia i wyrazistość mowy, jej formalne możliwości i ducha - poczucie tożsamości z miejscem, z którego kulturowo pochodzi, skąd wywodzi się jego dom. Który by znał wartość ludzkiego wysiłku i najwyższym szacunkiem darzył ludzkie umiejętności - gwarancję szacunku dla własnej pracy. Który by nauczył się kultury uczuć, tego szczególnego taktu, szczególnej dyskrecji, która umożliwia obcowanie z drugim człowiekiem i stwarza pole dystansu dla jego przywar i ich pochopnej

40

oceny - kultury uczuć, która z kobiety czyni przedmiot szczególnego kultu, kobiety, której przeznaczeniem jest miłość, a dramatem jej utrata, której biologia uczy nas, mężczyzn, obcowania z ziemią, a kobietę, za naszym pośrednictwem, styczności z poezją.

Nadszedł rok 1939. Czwarta klasa, w perspektywie mała matura i wstępny egzamin do liceum. Odgłosy zbliżającej się burzy nie dotyczyły nas. Jeżeli coś nam się udzieliło z tej atmosfery, to tylko wzbierające w nas radosne podniecenie.

Instrukctorem - dowódcą naszego oddziału przysposobienia wojskowego, formacji powołanej do życia przed wojną i obejmującej, jeśli dobrze pamiętam, ostatnie roczniki szkół średnich, był porucznik K. Szkolenie obejmowało naukę posługiwania się bronią, teorię z zakresu obronności i oczywiście musztrę. Porucznik K. był nieduży, czarniawy i pospolity, i wbrew temu jak wyglądał, nie wymawiał litery "r". Głównym terenem ćwiczeń był plac Na Groblach, piękny, zamknięty obiekt sportowy należący do dwóch szkół, naszej i żeńskiego gimnazjum TSL - Towarzystwa Szkół Ludowych, sąsiada z tej samej ulicy. Porucznik K. traktował swoją funkcję poważnie i tylko ulewny deszcz mógł mu przeszkodzić w gonieniu nas po manowcach trudnej sztuki wojennej. Trzeba przyznać, że uzasadnione było jego przywiązanie do cielesnych ćwiczeń, bo kiedy raz jeden obe-

41

rwaniu chmury i burza z piorunami zmusiły nas do pozostania w murach szkoły, zdobył się na wykład i powiedział: "Dzisiaj porozmawiamy teoretycznie. O gazach. Rozróżniamy różne gazy. Trujące. Duszące i żrąco-parzące. Do żrąco-parzących zaliczamy: luizyt i iperyt. A więcej wam nie powiem, bo mi się nie chce". Ulubioną jego ofiarą byłem ja. Kiedy w czasie ćwiczeń musztry, po rozkazie: "Baczność! Na ramię broń! Prezentuj broń!" rozpoczął przegląd kompanii - wiedziony moim regulaminowym spojrzeniem żołnierza oddanego na

śmierć i życie swemu dowódcy - zatrzymywał się przede mną i mówił: "Junak Holoubek! Taki daszek

- a daszkiem nazywa się układ czterech palców prawej ręki usytuowany nad zamkiem karabinu, podczas gdy piąty - kciuk, obejmuje korpus broni od tyłu, tuż pod językiem spustowym

- możecie sobie zrobić przy jiszczaniu". Ale nawet on, porucznik K., nie wiedział, jakich przełomowych zmian w moim życiu będzie sprawcą.

W kolejny piękny dzień wiosenny wkroczyliśmy w szyku marszowym na plac Na Groblach. Zdarzyło się, że opodal na boisku do siatkówki grały dziewczyny, nasze gimnazjalne sąsiadki. Nie wiem, co mnie podkusiło, pewnie chęć zabłyśnięcia przed kolegami, że krzyknąłem: "Co ta mleczarnia tu robi!".

Usłyszał to porucznik K. Komenda: "Kompania (krok defiladowy) stój! Czwórki w prawo zwrot!",

42

zabrzmiała wyjątkowo energicznie. "Który junak to powiedział!?" Wystąpiłem trzy kroki i stanąłem w pozycji na baczność. Powiedział: "Junak Holoubek!

Biegiem marsz do dziewcząt! Powtórzyć zarzut! I przeprosić!". Wykonałem.

Dziewczyny tarzały się ze śmiechu, a ja nie dość upokorzony musiałem jeszcze na rozkaz porucznika trzykrotnie okrążyć biegiem nasz oddział, oddział w

marszu, defilujący przed dziewczynami żeńskiego gimnazjum. Duch opiekuńczy porucznika nie opuszczał mnie. W jakiś czas potem nasza klasa IV B otrzymała od dziewcząt z TSL-u zaproszenie na bal maturalny. Takimi samymi czcionkami

jak samo zaproszenie było wydrukowane: "Z wyjątkiem kolegi Gustawa Holoubka, któremu w tańcu boimy się nastąpić na uszy". Podpisał wójt klasy

czwartej. Następnego dnia w czasie wielkiej przerwy na Plantach przed szkołą wypatrzyłem wójta chichoczącą ze swoimi koleżankami, chytrze podbiegłem,

tak zwanym "czeskim" kopnąłem ją w tyłek i uciekłem. Ale właśnie! Jaki los jest pokrętny i nie do przewidzenia. Nie uciekłem daleko i stosunkowo nie na długo.

Dokładnie rok potem, w 1940, nic na to nie poradzę, ale znowu w kwietniowy słoneczny poranek stanąłem na balkonie mojego mieszkania, aby odetchnąć

upragnionym powietrzem mojej ulicy. Właśnie wróciłem z niewoli niemieckiej, długiej, przerażająco mroźnej, złej niewoli, kiedy nagle, jak mi się zdawało z na-

43

przeciwka, dobiegł mnie cichutki, ale wystarczająco wyrazisty, głos dziewczyny: "Kła-pouch". Ponieważ nie mogłem zidentyfikować źródła, "Kłapouch" powtórzył

się raz jeszcze, wyraźnie dając do zrozumienia, że chce być zdemaskowany. I zobaczyłem naprzeciwko, w odległości piętnastu metrów, w oknie spowitym w

lekko drgającą muślinową firankę, wśród doniczek pelargonii, twarz... wójta.

Skąd się tam wzięła? Zawsze była paskudna, a teraz, tego ranka, piękna. Co to się stało? Czy słońce tak padało, że jego promienie łamały się na czerwonych pelargoniiach, odbijając się na jej ustach różową poświatą? Czy jej oczy przez

azur firanek nabrały przenikliwości? Czy może to ja, przez pół roku izolowany od życia, stęskniony

44

za czułością, w instynktownych przeczuciach czegoś niezwykłego, zobaczyłem ją taką, jaką chciałem zobaczyć? Nie wiem. W każdym razie zaczęło się. I miało skończyć się dopiero z końcem wojny.

Najpierw skradałem się, wracając do domu, aby wypatrzeć ją w oknie wcześniej, zanim ona mnie zobaczy. Miałem wtedy szansę odpowiednio zagrać powrót do domu. Wyprostowany, nonszalancko rozluźniony, albo przeciwnie, skupiony, zaprzątnięty myślami, wyobcowany z otoczenia, intelektualista. Miało to ten skutek, że kiedy po paru dniach zdobyłem się na odwagę i ze swojego balkonu zapytałem ją siedzącą w oknie, czy nie ma książki... zapomniałem tytułu - odpowiedziała, że ma i chętnie mi ją pożyczy. "Pani Basiu! Czy ma pani książkę...?" "Mam". "Czy mogłaby mi pani ją pożyczyć?" "Mogłabym". "To świetnie". "Niech pan zajdzie do mnie dziś o czwartej, może pan?" "Oczywiście, naturalnie".

Sprowadziła się tutaj niedawno. Była sierotą i mieszkała z dziadkiem, który był bardzo przystojny i elegancki. Wychodził na spacer popołudniowe zawsze o tej samej godzinie, podpierając się laską ze srebrną gałką. Mieszkanie było od północy, a więc mroczne, ale dość obszerne. Kiedy wszedłem, stała na środku pokoju z książką w ręce. Zbliżyłem się, aby ją wziąć, ale nie wypuszczała jej z ręki. Staliśmy tak długo, zdawało mi się, że wieczność, na-

45

przeciwko siebie, bardzo blisko, aż wreszcie, drżąc z lęku, pocałowałem ją w usta.

Ale to wszystko było potem, bo przed tym wybuchła wojna.

Kościół

Religia towarzyszyła mi od zarania. Tak jak nam wszystkim. Urodziła się w Boże Narodzenie, w oczekiwaniu na Pana Jezusa, razem z aniołami, pastuszkami, trzema królami. Jak już wspominałem, padał śnieg, było ciepło od rozgrzanych węglem pieców, świeciła choinka, w każdym domu śpiewano kolędy, a kolędy były pogodne i dobre, tak jak bywa dobre serce. Lęk nadszedł później, już w szkole, na lekcjach religii. Okazało się, że dziecko jest grzeszne, że grzechu trzeba się strzec, jeśli się nie chce smażyć w piekle. Pierwszy krzyż, z nieznanym dotąd Jezusem, bo ukrzyżowanym, zabitym. Pierwsza spowiedź. Groźna i prawdopodobna, może najbardziej prawdopodobna ze wszystkich spowiedzi. W przeddzień całonocna męka, kiedy potajemnie, w ukryciu przed matką, walczyło się z pamięcią, żeby nie uronić żadnego grzechu spisywanego ołówkiem na wyrwanej z zeszytu kartce. Strach przed konfesjonalem i rozgrzeszenie. Jak przebudzenie po strasznym śnie. Żaden ogień na świecie nie płonie tak wesoło jak ten, który trawił papier z rejestrem

48

grzechów. Na koniec zwięźczenie - Pierwsza Komunia Święta i znowu jasny otwarty świat. Bierzmowanie wyglądało raczej beztrąsko. Bo to i od księdza biskupa dostawało się w pysk i wybór samego imienia był raczej licytacją na najlepiej brzmiące połączenie z dwoma poprzednimi imionami.

Jeśli pojęcie "chleba powszedniego" oznacza dosłownie podstawowe minimum dla godnego bytowania, to niesie ono przecież w przenośni także naszą wdzięczność za ofiarowane życie, za możliwość podziwiania dobroci i mądrości Pana Boga, zawartej w pięknie i pożytku stworzonej przez Niego natury. Jest

dobrodziejstwem, że takim odczuwaniem jesteśmy obdarowani na początku drogi życia i że ta świadomość towarzyszy na tyle długo, żebyśmy mieli dość czasu, aby zgromadzić w sobie potencję na przetrwanie dalszej wędrówki, kiedy w ten obraz sielanki zacznie się wkradać z wątplenie, kiedy dramat niepowodzeń i klęsk spadnie na nas bez możliwości ich racjonalnego wytłumaczenia. Dlatego właśnie chciałoby się odsunąć od siebie dociekania na temat sensu egzystencji i zastąpić je wizerunkiem posłusznego prostaczka, utonięciem w naiwności. Ale odruch protestu przed niesprawiedliwością jest człowiekowi równie przyrodzony jak tęsknota za oddaniem się bezkrytycznej wierze. W tej właśnie chwili, jeżeli zakorzenienie religijności jest w nas dostatecznie głębokie, pojawia się przecucie Nad-

49

rzędności, wzmożone poczucie obecności Najwyższego Sędziego. Modlitwa staje się mniej dziękczynna, a bardziej poddańcza, trwożliwa nadzieją na nieomylność Boga.

W tym okresie duchowego dojrzewania potrzeba Kościoła staje się bardziej oczywista niż kiedykolwiek. Od rodzaju jego odpowiedzi na pokładaną w nim przez nas ufność zależy zarówno siła więzy, jak i poczucie bezpieczeństwa chrześcijańskiej rodziny. Nie samozadowolenie z posiadanych cnót, ale trud pochylania się nad słabością człowieka, jego skłonnością do występku, a nawet czynienia zła, jest najwłaściwszą drogą do pozyskania wyznawców, dla ich pełnej wiary w posłannictwo Kościoła.

Brak odpowiedzi na nasze wątplenie, na przyrodzone nam metafizyczne rozdarcie, skazuje nas na nieobecność Boga. Przed wojną Kościół był poczciwy. Dostojnicy Kościoła byli naprawdę dostojni, mieszkali w pięknych pałacach i występowali na różnych uroczystościach pięknie ubrani, promieniujący niedostępnością. Księża dzielili się na działających w miastach i na wiejskich proboszczów. Ci z miasta byli schludni, zabiegani między licznymi obowiązkami, intelektualnie sprawni, zróżnicowani w swoich poglądach, które głosili swobodnie. Był na przykład ojciec kapucyn - jeśli dobrze zapamiętałem - ojciec Anioł, na którego kazania zbiegaliśmy się z całego Krakowa, bo mówił pięknie "na nowo" i z ambony - wówczas

50

kazania głoszone z ambony - spływały słowa kojące o istnieniu bezwzględnej sprawiedliwości i o bożym miłosierdziu. Był też inny ksiądz, ksiądz profesor, który inaczej pojmował swoją misję. Miał ambicje aktorskie i stosował w sposobie mówienia tak zwaną modulację. To znaczy częściowo grzmiał patetycznie, jak mu się pewnie zdawało, poetycko, aby nagle jakąś frazę potraktować potocznie, uliczną prozą. Zapamiętałem taki fragment: "Dzieciaczki! - krzyczał. - To straszne! Ojciec robotnik! Matka praczka! Kim mógł być syn?!". Po tym pytaniu zawieszał głos i po wielkiej ciszy, która zalegała kościół, wtrącał z prostotą: "Oczywiście bandytą". Być może brało się to u niego z przyrodzonej dys-trakcji. Bo jak inaczej wytłumaczyć sobie taki fragment oracji: "Dzieciaczki. To straszne. Szedłem sobie wałami Rudawy i co widzę? Student ze studentką. Tak się, wiecie, zdenerwowałem, że trzasnąłem drzwiami".

Księża wiejscy, nie wiem dlaczego, ale wydawali się na ogół zażywni, mieli gospodynie i czyściutkie plebanie. Głosili słowo Boże przystępnie, opatrząc

naukę licznymi przykładami z życia. Cieszyli się autorytetem i w sprawach dotyczących wsi ich głos liczył się najpoważniej. Ale przede wszystkim hodowali kwiaty, piękne kolorowe kwiaty, z których najpiękniejsze były malwy. Pewnie z tego powodu każdy wiejski kościółek wyglądał tak, jakby zamieszkała w nim uśmiechnięta Matka Boska.

51

Kościół. Mówić o kościołach w Krakowie to tak, jakby się chciało powiedzieć, że w Wenecji są kanały, albo że w Amsterdamie jeżdżą na rowerach. Spośród dziesiątków krakowskich świątyń, które promieniują pięknem i swoją historią opisują miasto, jego dzieje i znamienitych mieszkańców, zatrzymam się przy czterech. Wawel - kojarzy mi się dwojako. Pierwszy Wawel to siedziba Jagiellońska, renesansowa, z dziedzińcem, komnatami królewskimi, kaplicą Zygmuntowską, dzwonem Zygmunta. Jest żywa, dotąd wypełniona domownikami i przybyszami z całego świata. Tu kształtuje się racja stanu wielkiego państwa. Tu wzorzec europejskiej kultury odrodzenia przetwarza się w środki wyrazu i treści dotyczące tego kraju, charakteru jego mieszkańców. To zdumiewające, że świeckość tego miejsca jest tak narzucająca się, że nawet atmosfera wawelskiej katedry bliższa jest pobytowi w muzeum niż obcowaniu z Bogiem. Cudowne proporcje kaplicy Zygmuntońskiej, jej zamknięte koliste piękno, geniusz rzeźbiarski sarkofagów królewskich z geniuszem Wita Stwosza na czele, nawet nieco przesadzony emocjonalnie grób świętego Stanisława, skłaniają raczej do podziwu dla artystów - budowniczych katedry - niż do modlitewnego skupienia. Drugi Wawel to Wawel Wyspiańskiego. Na doniosłym wzgórzu, strzelisty, gotycki, otoczony mgłą albo burzowymi chmurami,

53

napęczony dźwiękiem największego dzwonu świata - unosi się w powietrze i wchłania wszystko, co zostało stworzone, od antyku przez Szekspira po czas poety. Tak go widział Stanisław Wyspiański ze swojej ulicy Kanoniowej i od takiego w swojej sztuce nie mógł się uwolnić. Jakikolwiek byłby punkt widzenia na ten najcenniejszy narodowy zabytek, jedno jest pewne: w Wawelu może najwyraźniej ze wszystkich miejsc zaklęta jest polskość. To szczególne połączenie wzniosłości i zwyczajności, monumentalności i kameralności, które nadaje ludzkie wymiary siedzibie o takim zasięgu oddziaływania, jest niezwykle i dla nas specyficzne. Zamek ten budowany i wzbogacony w czasie kształtowania się państwa, a potem utrwalania jego potęgi, ani jednym swoim elementem nie skusił się na rozbuchaną megalomanię, na pokaz agresywnej siły. Zaproponował wstrzeźliwość, a swoje materialne możliwości spożytkował wyłącznie dla wewnętrznej urody, dla demonstracji najlepszego smaku. Tak zachowują się tylko ci, których otacza trwały dobrobyt, których filozofia poucza, że nie ma takich zwycięstw, po których nie następowałyby klęski i że w związku z tym tylko umiar jest gwarancją trwania. Kiedy w drodze do Zakopanego przejeżdżam przez most Dębicki na Wiśle, muszę za każdym razem uważać, żeby nie wpaść na poprzedzający

54

mnie samochód, a to z tego powodu, że nie mogę oderwać wzroku od z lewej strony mijanego Wawelu.

Na południowym skraju placu Dominikańskiego, nieco za magistratem, wtopiony na skutek starości w ziemię, poniżej poziomu ulicy Franciszkańskiej, stoi kościół oo. Franciszkanów. Po Świętej Katarzynie chyba najpiękniejszy gotyk Krakowa. Dla mnie szczególne to miejsce, przez parę bowiem dobrych lat nie opuściłem w tym kościele ani jednej niedzielnej mszy świętej. Zawsze o dwunastej w południe. Moja starsza siostra Helena mnie tam prowadziła, Helena, której zawdzięczam wszystko, co dotyczy nauk o pożytku czynienia dobra. Była pobożna i niesłuchanie systematyczna w wykonywaniu praktyk religijnych. Siadywaliśmy zawsze w tym samym miejscu, po prawej stronie prezbiterium, w wysokich drewnianych stallach. Ksiądz celebrujący mszę świętą był bardzo blisko i mogłem śledzić nie tylko jego czynności, ale i słyszeć każde wypowiedane przez niego słowo. Jak wiadomo, językiem liturgii była wówczas łacina. Nie było nagłośnienia i kapłan był o tyle słyszalny, o ile potrafił dotrzeć głosem do końca nawy głównej - odprawiał nabożeństwo twarzą do ołtarza, tyłem do wiernych. Ta forma celebracji nadawała mszy inny niż dzisiaj charakter. Za pośrednictwem kapłana ołtarz z całym swoim wystrojem, z tabernakulum pośrodku, był dla wiernych zasadni-

55

czym kierunkiem modlitwy. Od hieratyki gestów celebranta, od ich duchowego wyrazu zależał stopień skupienia, oddania się atmosferze mszy. Łacińskie słowo wypowiedane w instynktownym poczuciu niezrozumienia wymagało szczególnej precyzji i wyrazistości i - okoliczność najbardziej istotna: nieobecność twarzy kapłana, której wyrazu w stosunku do poszczególnych treści liturgii można się było tylko domyślić - wszystko to składało się na nastrój tajemnicy odprawianego nabożeństwa, na jego mistyczny charakter. Byłem za młody, aby zrozumieć istotę tego misterium, ale pamiętam jego wagę, jego niezwykłość. Tym bardziej że w kościele oo. Franciszkanów śpiewał najwspanialszy na świecie chór, chór "Echo", a nad nim, nad organami, przeświecony południowym światłem królował groźny karzący Bóg Ojciec. Wstrząsający witraż Stanisława Wyspiańskiego. Chcę powiedzieć, że jeśli dzisiaj w myślach o przemijaniu, o konieczności pozostawienia za sobą nieodwracalnie zamkniętej przeszłości, dokonuję czegoś w rodzaju reasumpcji sumienia, krakowscy franciszkanie przypominają mi się jako memento, ostrzeżenie przed lekkomyślnym traktowaniem wzniosłości. A do ss. Sercanek, do maleńkiego kościółka przy ulicy Garncarskiej chodziło się tylko na majowe nabożeństwa. Bardzo często mówię tutaj o kwiatach, ale naprawdę, tyle kwiatów, ile było u Sercanek na majowych nabożeństwach,

56

nie widziałem nigdzie indziej. Podniecane ślicznymi majowymi pieśniami, pachniały tak obłądnie, że nie można było oderwać oczu od... dziewcząt, które stały tłumnie w białych sukienkach, z kolorowymi wstążkami we włosach. Naumyślnie nie wchodziło się do wnętrza kościoła, czekając, aż się całkiem zapelni, żeby móc z zewnątrz, przez otwartą bramę, szerzej ogarnąć widok. W głębi, przed ołtarzem rozżarzone świece, niewyraźna sylwetka księdza, za nim

las głów i dziwnym trafem najbliżej nas usytuowane dziewczyny. Dosyć niecierpliwie słuchało się słów modlitwy, prawdę mówiąc nie słuchało się wcale, czekając na zakończenie nabożeństwa, bo wtedy dopiero można było dokonać szczegółowych oględzin.

My staliśmy grupkami na chodniku, udając nonszalancko, że rozmawiamy, a one rozchodziły się bardzo wolno, przystając co chwila, nawołując się wzajemnie, chichocząc w lekkich konwulsjach i zupełnie bez powodu.

Niesłychanie rzadko dochodziło do prawdziwych spotkań. Tylko niektórym udawało się, jak to się mówi, nawiązać rozmowę, i ci byli potem otaczani legendą prawdziwych mężczyzn. Pozostali, czyli my, kończyliśmy popołudnie z niejasnym poczuciem bezsensu i dumni z przewagi umysłowej wracaliśmy do domów. Tak to było codziennie przez cały miesiąc maj i tak to u ss. Sercanek codziennie zostawialiśmy swoje serca.

57

Wreszcie kościół Mariacki. Teraz za każdym moim pobytem w Krakowie to przede wszystkim ołtarz Wita Stwosza i polichromia Jana Matejki. Ale pięćdziesiąt pięć lat temu, w czasie okupacji, moja parafia. Przenieśliśmy się wówczas ze Zwierzyńca na plac Dominikański. Nie chodziło się często do Mariackiego, ale jedne święta były całkowicie z nim związane - święta Wielkanocy. Lękam się, czy się nie mylę, bo inny jest obyczaj warszawski, ale jestem pewien, że w Krakowie rezurekcja miała miejsce w Wielką Sobotę. O szóstej wieczorem rozbrzmiewał dzwon Zygmunta, zawiadamiając cały Kraków o Zmartwychwstaniu. A więc nie śniadanie pierwszego dnia świąt, ale kolacja porezurekcyjna Wielkiej Soboty była już uwolniona od postu i święcona przy wszystkich stołach.

Nie wiem, czy można z czymkolwiek porównać przedświąteczne dni Wielkiego Tygodnia i same Święta Wielkanocne.

Nigdy natura nie jest tak zgodna ze świętem śmierci i z istotą życia jak w te wczesne wiosenne dni, w których na naszych oczach dokonuje się prawdziwy akt zmartwychwstania. Ginie wszystko, co dokonało żywota - w tym samym miejscu rodzi się wszystko, co zostało życiem zapłodnione. Wielki Tydzień jest rozpamiętywaniem śmierci, podsumowaniem kończącego się istnienia i pokutą za wszystkie tego istnienia grzechy. Ale też triumfem nad śmiercią przez

58

wiarę w niezniszczalne odradzenie się życia. Dał tego dowód Człowiek Bóg, który swoim męczeństwem i Wniebowstąpieniem otworzył ludziom drogę nadziei. Dlatego święto Wielkiej-nocy nie jest świętem rozpacz. Jest świętem najgłębiej pojętej radości.

Wówczas, w czasie okupacji, w czasie śmierci naszej ojczyzny, w Wielką Sobotę po południu zaglądał do nas do domu snop światła. Ksiądz doktor Ferdynand Machaj (tak chyba się pisał, a może Mahay), archiprezbiterianin kościoła Mariackiego, przychodził święcić stół i wszystkie na nim ziemskie dary. Był to chłop zwalisty, bardzo głośny i wesoły, pochodził ze Spiszą albo Orawy i zatracał chłopskim akcentem.

Wszyscy, nie tylko parafianie, znali księdza Machaję, bo i mówił pięknie, i był człowiekiem nadzwyczajnym, jednym z tych, którzy dawali świadectwo wiarygodności. Prosty, bezpośredni, kropił stół i nas wszystkich święconą wodą, siadał, pił wódeczkę, zapraszał na nabożeństwo w pierwszy dzień świąt i

rozmawiał tak, jakby znał nas od lat. Tymczasem był kimś więcej niż proboszczem, aż boję się powiedzieć kim. W Wielką Sobotę roku 1944 przyszedł i powiedział, że szóstego czerwca będzie inwazja w Normandii. W czasie okupacji wszyscy przez cały czas mówili, że będzie inwazja, ale żadna z przepowiedni się nie spełniła. Aż tu nagle szóstego czerwca 1944 roku inwazja się rozpoczęła.

59

Uczeni kontestatorzy od religii twierdzą, że w czasach Chrystusa było mnóstwo wędrujących fałszywych proroków od głoszenia własnych religii. No dobrze. Ale jeden trafił się prawdziwy. W czasie wojny tysiące było takich, co wiedzieli wszystko lepiej od innych, ale tylko jeden, przystany z kościoła Najświętszej Marii Panny przyszedł i zwiastował Nowinę.

Kościół. Na wołowej skórze nie spisałbyś, ilu ludzi w ciągu stuleci nakłoniły do pobożności, ilu grzesznikom nie pomogły, ile grobów kryją - grobów tych, którzy je za życia kupili, i tych, którzy na nie zasłużyli. Ile błagalnych modłów wysłuchały, a ile bluźnierstw i przekleństw. Ile udzieliły chrztów, ślubów, ile wysłuchały spowiedzi. Jak to jest możliwe, żeby ich pojemność wytrzymała takie morze łez, bólu i rozpacz, i nie tylko nie rozsadziła murów, ale zamknęła w nich szczelnie całe to ludzkie nieszczęście i jeśli został po nim ślad, to tylko w koleinach kamiennych posadzek, wyżłobionych przez ludzkie stopy.

Tymczasem krakowskim kościołom się zdarzyło.

Na charakter Krakowa, na jego niewątpliwą odrębność wśród wielu polskich miast, miał wpływ fakt, że niemal od narodzin twarzą zwrócony był ku Zachodowi, a plecami do Wschodu. Orientacja ta była tak silna, że nawet wówczas, kiedy słowiańskie powiązania rodzinne, a potem imperialna racja stanu wskazywały na konieczność odwrócenia oczu, widzenie

60

Wschodu było niewyraźne, zamazane, jak wtedy, gdy przyglądamy się obcości. Daleki od ocen korzyści czy szkód z tego wynikających, muszę kategorycznie stwierdzić, że droga do kultury Europy, droga do tworzenia praw i instytucji, które powstały na Południu i na Zachodzie, miała początek i wiodła przez Kraków. Nie idzie tutaj o wyższość tej nad inną orientacją, jedynie o stwierdzenie faktu. A fakt ten oczywiście niesie za sobą określone skutki. Spośród zasadniczych różnic, jakie mają miejsce między tym, co można nazwać dziedzictwem Rzymu, a tym, czemu patronuje propozycja bizantyńska, ze wszystkimi modyfikacjami tych kultur zaistniałymi w ciągu biegu dziejów, jedna obserwacja wydaje mi się znamienita. Obserwacja na mój własny użytek, nie mająca żadnych pretensji do uogólnień.

Wschód założył, że człowiek jest dobry. Konstatacja ta w samym swoim założeniu musi budzić wątpliwość, zważywszy niezmierzone przykłady temu przeczące. Ale dogmatyczny upór przy udowadnianiu prawdziwości tej tezy każe likwidować wszystko, co jej zaprzecza.

W prostej konsekwencji tego nakazu wymyślono gigantyczny aparat śledczy, mechanizm do penetracji człowieka w celu odkrycia w nim występku. System ten jest do tego stopnia zakorzeniony w ich mentalności, że owym aparatem ucisku dysponują nie tylko rządzący, ale wszy s-

61

cy wobec wszystkich. I staje się tak, że nie ma takiej sytuacji, w której by dobro nie było podejrzane, w której każdy, kto cokolwiek czyni, nie byłby narażony na automatyczną kontrolę swojego postępowania. Aby uśmierzyć bunt przeciwko narzucanemu w ten sposób niewolnictwu, a może aby uwznioślić sam system, powiedziano, że jedyną drogą do zbawienia jest przejście przez grzech, przestępstwo, zbrodnię - a jedyną formą ekspiacji jest przyznanie się do winy i pokajanie.

Zachód założył, że człowiek jest zły.

Ponieważ uogólnienie takie może być ryzykowne i stworzyć niebezpieczne pole do nadużyć sprawiedliwości, skrzywdzić tych, którzy tej tezie zaprzeczają, stworzono system, możliwie precyzyjny, dla zapobiegania powstawaniu zła, a tym samym dla ochrony przed złem. W kodeksie praw stworzonych dla potrzeb tego systemu określono po pierwsze: co jest złem, co jest przestępstwem; a po drugie: zabezpieczono, także prawnie, szeroko pojętą możliwość obrony przed posądzeniem o czyn przestępczy. Tak mniej więcej wygląda, oczywiście w daleko idącym skrócie, administracyjna postać organizacji społecznego współżycia. Ale pod prostym założeniem powyższej tezy o złym człowieku są ukryte konsekwencje daleko przekraczające strukturę organizacyjną. Niespodzianką, czymś formalnie nieprzewidzianym staje się wszelki przejaw dobra. Wobec tego każdy ludzki czyn,

62

którego cechą jest pożytek, każda twórczość, której celem jest postęp, każdy przejaw talentu, każda szlachetna inicjatywa, muszą być pielęgnowane, afirmowane i w dosłownym i niedo-słownym znaczeniu tego słowa - zapłacone. Od wzrostu liczby tych przypadków zależy bowiem jakość społeczeństwa, jego zamożność, bezpieczeństwo, wygoda i uroda życia. Jak pozwoliłem sobie powiedzieć, krakowskim kościołom się zdarzyło. Po upływie tysiąca lat ab urbe condite, po tysiącletnim gromadzeniu dóbr dzielonych z dojrzewającą Europą, po doświadczeniach będących ich samych i ich wiernych udziałem - przekazały światu owoc swego wychowania.

Nie mogę nie podzielić się swoim najgłębszym wzruszeniem.

Dwadzieścia lat temu stanąłem przed możliwością dotknięcia Jego ręki.

Pierwsze moje spotkanie z Papieżem odbyło się w nierzeczywistości i dotąd nie jestem pewien, czy w ogóle miało miejsce.

Wczesną jesienią 1979 roku odebrałem telefon, że jakaś bliżej nieznana mi instytucja, związana z Watykanem, zaprasza mnie do nagrania na płyty utworów poetyckich Karola Woj tyły. Rzec ma się odbyć w Rzymie i przyjazd mój jest pilny. W oznaczonej godzinie wyjazdu wszystko złożyło się niepomysłnie. Spóźniłem się na samolot. Musiałem zawiadomić telefonicznie znajomych, mających mnie oczekiwać,

63

że wyjadę następnego dnia pociągiem. Blisko trzy dni podróży, pół sny, pół koszmary, jakie mnie w niej nawiedzały, kilkugodzinne samotne błądzenie po Rzymie spowodowane nieporozumieniem co do godziny przyjazdu, sprawiły, że nagranie tekstów Papieża w małym niedoskonałym technicznie studio było fatalne.

Zachrypnięty, głosem bez dźwięku, zdany wyłącznie na własne wzruszenie, utopiłem sens słów, szczególną dyscyplinę intelektualną tych słów, w lękach, łzach, w widocznym wysiłku emocjonalnym.

Na przeszkodzie mojej ucieczce z Rzymu stanęła wiadomość, która upewniła mnie, że to wszystko nie odbywa się naprawdę. Następnego dnia po południu miałem zostać przyjęty przez Papieża na audiencji prywatnej.

Niewiele pamiętam z kolejności wydarzeń. Jakiś samochód wiozący mnie coraz węższymi uliczkami, mur watykański, w nim brama metalowa, ciężka, błędzenie przez podwórza okolone wysokimi, zimnymi budynkami, pojedyncze postaci duchownych, przemykające w pośpiechu wąskimi chodnikami, wreszcie wjazd pod budynek nie różniący się od innych niczym szczególnym, dyskretny strażnik, wskazujący drzwi do windy, równie skromnej jak przedsionek do niej prowadzący, i pierwszy krok po opuszczeniu jej na którymś z pięter. Cisza, która towarzyszyła mi przez cały ciąg tej wędrówki, teraz stała się dotkliwie bolesna. Nie wiem,

64

w jaki sposób dotarłem do drzwi pokoju wskazanego przez księdza Stanisława Dziwisza, nie bardzo też pamiętam, jak ten pokój wyglądał. Wiem tylko, że otoczyła mnie biel, biel, która wydała mi się wszechobecna, w meblach, ścianach, w oknie.

Wszedł niepozornie, tak strasznie nieoczekiwanie, za wcześnie, i w tej jednej sekundzie runęło wszystko, co sobie wyobraziłem w ostatniej półgodzinie, całe moje kunsztowne przygotowanie na przyjęcie tego najwyższego zaszczytu. Stał tuż przede mną, z wyciągniętą ręką, a ja całkowicie pozbawiony sił, ukląknęłam. Pomógł mi wstać, wskazał miejsce przy stole, bardzo blisko siebie, i spojrzał mi w oczy. Od tej chwili zrozumiałem, że dane mi jest spotkać człowieka, któremu Bóg w miłosierdziu swoim pozwolił stać się Człowiekiem. Patrzył na mnie z niezmierną uwagą, a Jego milczenie nie było oczekiwaniem, ale prośbą o przyzwolenie poznania mojej twarzy, przywołania jej z własnej niepamięci. Zupełnie tak jakby spotkanie nasze miało być kontynuacją, a nie początkiem. Czystość tej intencji, najszczerze zainteresowanie, z jakim to czynił, sprawiły, że zamknął się świat poza Nim i mną, że wszystko przestało istnieć poza jednym pragnieniem - aby oddać się całkowicie Jego ufności. I zamiast zwierzać się ze wszystkiego, skorzystać z tej jednej jedynej możliwości spowiedzi, zacząłem coś mówić bez składu i ładu o piękności Jego poezji, o trudności, jakie

65

niesie jej mówienie. Powiedział: "Wie pan, gdybym nie był papieżem, nikt by tego nie czytał". Potem już tylko słuchałem. Mówił o szacunku, jaki ma dla zawodu artysty, o wzniosłości teatru i jego posłannictwie. Że teraz, z konieczności oddany literaturze i filozofii, musiał się od teatru oddalić. Prosił o przekazanie swojego błogosławieństwa rodzinie, wszystkim aktorom polskim. A kiedy do pokoju wszedł ksiądz Dziwisz, dając do zrozumienia, że czas wizyty się skończył, powiedział: "Widzi pan, jak mnie pilnują".

Ksiądz, który towarzyszył mi przy wyjściu, przekazał mi papieskie przyzwolenie na zwiedzenie ogrodów watykańskich i dachów Bazyliki Świętego Piotra.

Kiedy stanąłem na jej szczycie, zbliżał się zachód słońca. Nigdy nie dam wiary tym, którzy twierdzą, że rozwodzenie się na temat piękności tego zjawiska jest niegodne znawcy prawdziwego piękna.

Jeśli się patrzy na Rzym z tak wysoka, przy dniu pogodnym, gdy tysiące budowli wzniesionych przez człowieka w ciągu dwu i pół tysiący lat odbija się różowością i złotem od błękitnego nieba - nie można nie zastanowić się nad tym, kim się jest. Kim się jest w tej nieskończoności, w tym mrowiu istot, które nic nie wiedzą o moim istnieniu. I oto tego dnia właśnie, na dachu dachów wszystkich kościołów, doznałem olśniewającej pewności, że ktoś jest ze mną. Ktoś, kto spośród miliardów ludzi wybrał mnie,

66

aby w tej przedwieczornej chwili przyjrzeć mi się z bliska.

Drugie spotkanie miało miejsce prawie dziesięć lat później. Naszej grupie, grupie aktorów uczestniczących w pielgrzymce, wyznaczono spotkanie z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo w czasie porannej mszy świętej. Na dziedzińcu rezydencji zgromadziły się setki ludzi. Atmosfera była pełna radosnego podniecenia. Pielgrzymi ze wszystkich stron świata śpiewali równocześnie, a ta kakofonia słów i melodii tylko pozornie świadczyła o odrębności zgromadzonych. Naprawdę stanowiła o wspólnocie ludzi spotykających się tutaj w jednym celu i w imię jednego. Aby powiedzieć, że w obliczu Chrystusa jesteśmy połączeni wiarą i wolą miłości. Mówiły o tym wszystkie twarze promieniujące wzajemną życzliwością i pogodą.

Msza święta odprawiana przez Papieża była cicha i pełna skupienia. Emanacja Jego osoby udzieliła się wszystkim zgromadzonym. Trwała nieprzerwana modlitwa w słowach i w milczeniu. Skąd wzięła się w Nim ta siła? Co czyni, że tysiące ludzi różnych ras, różnych kultur i mentalności wybrały Go sobie, utożsamiały z Nim, powierzyły Mu swoje nadzieje? Myślę, że nie czyni nic. Bo gdyby tak było, odsłoniłby swoją tajemnicę, wydał ją na pastwę rozumu i tym samym zniweczył cel swego posłannictwa. Myślę, że nie czyni nic, aby być tym, kim jest. Po prostu Nim jest, a wziął się stąd, że uwierzył

67

głęboko, że sens Jego egzystencji będzie usprawiedliwiony tylko wtedy/ gdy swoje bytowanie połączy z obecnością Boga. Czy można nazwać cudem czy zwykłością, jeśli Bóg odplaca tym samym, czyniąc nas obecnymi w Nim - oto tajemnica.

Jan Paweł II został obdarowany przez Boga i fakt ten napełnił Go pokorą, wdzięcznością i szczególnym obowiązkiem wobec ludzi. Polega on na wewnętrznym nakazie, że aby zasłużyć na ich ufność, trzeba rozdać to, co się otrzymało. Być dawcą chleba i wina nie tylko w kościele. Wszędzie. W każdym zakątku ziemi i w każdych okolicznościach.

Jeśli wówczas, w czasie pielgrzymki, nie wiedzieliśmy o tym, to na pewno czuliśmy to. Dlatego nasz występ artystyczny, występ małej grupy artystów sceny, który zaprezentowaliśmy Papieżowi tuż po ceremonii mszy świętej, był formą podziękowania za łaski, jakimi nas obdarza. Ale także wyrazem nadziei, że tych kilka dźwięków muzyki polskiej, tych kilka słów najpiękniejszej naszej poezji pozwoli Mu odpocząć i powrócić na chwilę do swojego rodzinnego domu, który tak pokochał, a który został Mu odebrany.

Wojna

I; I

Wojna utonęła mi w niepamięci. Pozostały tylko plamy pamięci ułożone fabularnie, ale bez ciągłości. Poszedłem na tę wojnę na ochotnika, jak moi najbliżsi koledzy. Dostaliśmy mundury przysposobienia wojskowego, karabiny - angielskie remingtony z przeziernikiem, pasy z amunicją - te były przedmiotem największych ambicji, byli tacy, co się nimi opasywali kilka razy, i ruszyliśmy. Przydzielono nas do 20. pułku piechoty jako coś w rodzaju kompanii pomocniczej. Tuż przed wyjazdem wróciłem jeszcze do domu, żeby pożegnać się z matką. W pełnym rynsztunku, przepełniony uczuciem opiekuńctwa przytuliłem się do niej. Mówiła: "Co ty robisz? Co ty robisz?" - i płakała. Szliśmy na wschód. Przez Puszcę Niepołomicką, Tarnów, Rzeszów, Przeworsk, Jarosław, Rawę Ruską. Ósmego września dotarliśmy do Lwowa. Po drodze była pogoda tak piękna, że najstarsi ludzie takiej nie pamiętali. Wzdłuż szosy wypełnionej po brzegi uciekinierami, wozami, końmi, resztkami wojskowych oddziałów, rozciągały się niekończące się pola, płaskie, szare,

70

pozbawione roślinności, częściowo zaorane, jak to we wrześniu. Nie służyły one dobrze, bo w czasie nalotów, a było ich kilkanaście, niskich, koszującym lotem prowadzonych, nie było gdzie uciekać przed seriami karabinów maszynowych. Na stacji kolejowej w Jarosławiu stoczyliśmy pierwszą bitwę z wysuniętym patrolem niemieckim. Strzelało się ochoczo do niewidocznych Niemców, żeby pod presją przewagi ich ognia uciec wzdłuż odnogi głównej trasy kolejowej. Biegliśmy w kierunku północnym. Jak się potem okazało, dopiero po dobrych kilku kilometrach trafiliśmy na pustą stacyjkę kolejową. Na torze stała stara wygasła lokomotywa z przyczepionym do niej wagonem towarowym. Znalazł się uciekający razem z nami kiluosobowy szczątek plutonu saperów kolejowych i rozpoczęliśmy rozbieranie drewnianych budynków stacyjki - było to jedyne paliwo. Saperzy rozpalili w kotle lokomotywy i z jakim takim zapasem drewna ruszyliśmy w nieznaną. Nikt z nas nie wiedział, dokąd jedziemy, na ile starczy torów. Zbliżał się wieczór i w tej szarzejącej widoczności podróż zaczynała być rzeczywiście upiorna. Ale osiągnęliśmy wreszcie stację prawdziwą, dużą, zapełnioną tłumem ludzi - była to właśnie Rawa Ruska. Noc zastała nas już w świńskich wagonach prawdziwego pociągu, zdążającego do Lwowa. Było nas już tylko dziewięciu. Pierwszy i ostatni raz zobaczyłem Lwów. Kotłowało się w nim

71

wówczas około dwóch milionów ludzi. Wszystkie wspomnienia lwowiaków, wszystkie opowieści o urokach tego miasta, piękne o nim piosenki są niczym w porównaniu z tym, czym to miejsce było w rzeczywistości. Jednym prostym słowem można je nazwać: Lwów składał się z serca. Nie z domów, nie z ulic ani otaczających go wzgórz - z serca. Bo cóż innego można powiedzieć o mieście, w którym w momencie przekroczenia jego rogatek czujesz, że nigdy z niego nie wyjeżdżałeś. W którym każdy przechodzień jest twoim starym znajomym i zanim zwrócisz się do niego z cymkolwiek, on uprzedza twoje życzenie, nie ograniczając się tylko do informacji, ale poszerzając ją o troskę i gotowość

służenia ci we wszystkim. Na miasto spadł kataklizm. W ciągu jednego tygodnia pięciokrotnie powiększyło liczbę swoich mieszkańców, a mimo to wyglądało tak, że te tysiące przybyłych tu dezorientowanych ludzi, szukających dróg ucieczki, mogły w równym stopniu nie ruszać się nigdzie. Lwów był gotów na ich przyjęcie.

Nas przygarnęła w swoim pięknym domu pewna hrabina, do której skierowała nas organizacja opiekująca się takimi właśnie jak my. Pani hrabina nie tylko udzieliła nam noclegu, ale jeszcze karmiła. A był razem z nami chłopak, który miał talenty organizacyjne, w każdym miejscu potrafił się znaleźć, z każdej opresji znajdował wyjście. W dodatku, co przy tego

73

rodzaju uzdolnieniach nie idzie na ogół w parze, był dystraktem. Wszelki nadmiar wytracał go ze skupienia i powodował chwilową utratę poczucia rzeczywistości. Było rzeczą całkowicie zrozumiałą, że pani hrabina jego właśnie uczyniła odpowiedzialnym za zachowanie naszej grupy. Trzeciego dnia pobytu pani hrabina siedziała sobie na krześle dokładnie na środku salonu, dla wygody jej podopiecznych ogołoconego z mebli. Południowe słońce padało właśnie na jej zacną twarz. Rozmawiała z nami wytwornie, kiedy nagle drzwi się gwałtownie otworzyły i wpadł nasz zaaferowany organizator. Stał dokładnie przed panią hrabiną i trochę nieprzytomnie w nią wpatrzony powiedział: "Obiadów dzisiaj po skurwysynie". Trwał tak jeszcze przez chwilę, po czym zamyślony do bólu, trochę somnambulicznie, nie trafiając za pierwszym razem w drzwi, opuścił salon. Zdawało nam się, że wszystko się skończyło, że całą naszą pracę nad dobrym wychowaniem w jednej chwili szlag trafił. Ale pani hrabina była lwowianką. Nie tylko nie usłyszała tego, co powiedział kolega - hrabiny mają to do siebie, że nie słyszą takich wypowiedzi - ale jeszcze od tego dnia do naszych obiadów dodała kolacje. W chaosie tych dni na próżno staraliśmy się dotrzeć do oddziałów dywizji dowodzonej przez generała Sosnkowskiego. Informacje o ich pobycie były tak sprzeczne, że w końcu ulegliśmy ogólnej atmosferze ucieczki, która wówczas

74

nakazywała wycofywanie się na wschód. Do końca mieliśmy nadzieję na dołączenie do jakiegoś zgrupowania będącego częścią strategicznej konsolidacji sił. Kilkanaście kilometrów za Lwowem doszło do podzielenia się naszej dziewiątki. Ciągłe niejasno informowani o domniemanych ruchach naszych wojsk stanęliśmy przed wyborem drogi na Tarnopol albo na Stanisławów. W czwórkę ruszyliśmy na Tarnopol, reszta poszła na Stanisławów, i to oni właśnie znaleźli się potem w Londynie. My utknęliśmy w Złoczowie i tam przywitała nas wkraczająca do Polski armia radziecka. Wykonaliśmy w tył zwrot i ruszyliśmy z powrotem. Ta wędrówka jest dla mnie niejasna. Wiem tylko, że wracaliśmy do końca września przez jakieś ukraińskie już wsie, wsie niebezpieczne, gdzie tylko posiadanie broni chroniło nas od poważnych zagrożeń. Znowu przez Lwów dotarliśmy wreszcie do Przemyśla. Nikt na nas nie czekał. Nikomu nie byliśmy potrzebni. Już bez broni, w drelichowych

mundurkach, schroniliśmy się w seminarium duchownym. Tamte dni w jednej z cel seminarium w atmosferze bezradności i głodu stały się naszą, szesnastoletnich chłopców, prywatną klęską. Wtedy nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, było nam tylko głodno i bardzo smutno, ale ten krótki przystanek musiał zaważyć na naszej świadomości. Zjedliśmy tam dwa koty i psa. Naprawdę. Nie było innej rady. Nie mieliśmy pieniędzy

75

i żadnych szans przejścia przez San. W tamtych dniach utrwalił się we mnie tylko pewien zapach, zapach pieczonego, gorącego jeszcze chleba. Trzeba było o drugiej, trzeciej w nocy stanąć w ogonku przed zamkniętymi jeszcze drzwiami piekarni, żeby mieć szansę na jego zakup - sukces otrzymania go nie dał się z niczym porównać. Zapach tamtego chleba, bo potem już żaden inny tak nie pachniał, został mi do końca życia.

Wreszcie decyzja przekroczenia Sanu, oczywiście nielegalnie, w bród, nie przez most. O czwartej rano - a było to w ostatnich dniach września - ruszyliśmy. Rzeka była płytka, w najgłębszym miejscu po kolana, szło się gładko, ale po drugiej stronie czekał już patrol niemiecki. Zaprowadzili nas do koszar, ogolili, odwyszli i po trzech tygodniach wagonami towarowymi odesłali do Altengrabow koło Magdeburga. Olbrzymi obóz jeniecki - wtedy około dwudziestu tysięcy żołnierzy - głodno, jedna piąta chleba dziennie, na śniadanie kosteczka margaryny, dżem, na obiad zupa Eintopfgericht, na kolację margaryna, dżem, plasterek jakiejś wędliny. Pogubiłem gdzieś po drodze moich kolegów. Zostałem sam. Na początku grudnia podzielono nas. Część została, część skierowano na roboty do bauera, mnie w niewielkiej grupie wysłano do Torunia, do fortów pancernych na Podgórzu. Do dzisiaj nie wiem, co to był za obóz, kim byli ci ludzie, których już tam

76

zostałem, częściowo żołnierze, częściowo cywile, i choć w sąsiedniej izbie stacjonowali nasi marynarze, jeńcy marynarki wojennej, nasza grupa wydała mi się niezupełnie jeniecka. Pamiętam, była między nami mowa o paragrafie pod nazwą "Bandyci schwytani z bronią w ręku". Nie wiem, co się stało z moimi przyjaciółmi z toruńskiego bunkra i nigdy się nie dowiedziałem, ale na Boga, mam nadzieję, żeśmy wówczas się mylili.

Zaczął się prawdziwy koszmar. Zima była potworna, trzydzieści pięć stopni mrozu. W izbie stał piec, stół i parę krzesel czy zydl, wzdłuż ścian leżała słoma do spania. Było nas około trzydziestu. Boże Narodzenie 1939 zaczęło się od tego, że w przeddzień Wigilii wysłano nas pod eskortą do śródmieścia Torunia zbierać dla siebie dary. Przechodziliśmy przez skutą lodem Wisłę. Ofiarność mieszkańców przeszła wszelkie granice. Wózek, który ciągnęliśmy za sobą, nie pomieścił prezentów, trzeba było jeszcze dźwigać wyładowane worki. Długi obozowy stół nakryliśmy ofiarowanym białym obrusem ubranym gałązkami świerku, zapaliliśmy świeczki, rozłożyliśmy jedzenie, jakiego świat nie widział, i buchnęła kołęda Bóg się rodzi nabrzmiała buntem i łzami.

I właśnie wtedy, na przekór temu co się stało, na przekór najprawdziwszej wzniosłości, która połączyła nas najprawdziwszą miłością - oddaliło się ode mnie wszystko. Miałem uczucie, że uczestniczę w czymś z zewnątrz, że moja

77

obecność jest przez nikogo nie dostrzeżona, że rzeczywistość zamieniła się w sen. Odwrócony tyłem do stołu patrzyłem w ogień rozżarzonego pieca. Tak to musiało się zacząć - dowiedziałem się później - tam, w tamtej chwili zaczęła się moja choroba, która przez następnych szesnaście lat usiłowała mnie zabić. W kwietniu 1940 roku przyszło zwolnienie. Staraniem mojej matki, która słała podania, powołując się na austriackie ordery ojca z pierwszej wojny światowej, a także na przepis o nieletnich jeńcach, zostałem odesłany do domu. Było jeszcze zimno, kiedy w jakimś prochow-cu przepasanym sznurkiem, w zdobycznych butach z cholewami, wracałem pociągiem do Krakowa. Podróż trwała dwa dni, choć zdawało mi się, że jadę ciągle nocą. Stałem przed drzwiami mieszkania i nie mogłem nacisnąć dzwonka. Stałem tak bardzo długo, kiedy drzwi się uchylily i przez szparę wyjrzała moja matka. Usłyszałem szloch, dławiący, spazmatyczny. Rozebrałem się do naga, porzucając na schodach brud i zawalenie ostatnich siedmiu miesięcy, i pokryty strupami zastygłej krwi przekroczyłem próg domu. Zanurzony w ciepłej wannie, myty ręką matki dotknąłem wreszcie ustami jej twarzy. Ciągle płakała. Nawet wtedy, kiedy już spowitemu w szlafroki i szale postawiła na stole pierwsze danie obiadu. Zaraz potem zasnąłem. A kiedy obudziłem się następnego dnia rano i dla zaczerpnięcia oddechu

78

mojej zwierzynieckiej ulicy wyszedłem na słoneczny balkon, Basia z naprzeciwiwka zawołała cichutko: "Kłapouch".
Gruźlica. Piszę o niej w tym rozdziale, bo chociaż skończyła się w 1956 roku, była dzieckiem wojny. Zaczęła się tuż po powrocie z niewoli w 1940 roku obustronnym zapaleniem płucnej z obfitym wysiękiem wodnym. Ból przy każdym oddechu, ból utopiony w gorączce, wielotygodniowej, spragnionej tylko wody i nie zaspokojonej wodą. Wyzdrowienie zastało mnie słabym, lejącym przez ręce, i tak ze śladem, jakimś śladem w płucach, o którym mówił lekarz, że trzeba go kontrolować, wracałem powoli do życia. Aż wreszcie zapomniałem o wszystkim, a raczej chciałem zapomnieć. Każdą słabość przeżywałem w panicznym strachu i także ze strachem odpędzałem ją od siebie, bagatelizowałem, byle nie wracać do lekarzy. Cały ten długi sześciolatek ciąg złudzeń przerwał w końcu przymusowy pobyt w sanatorium. Pierwsze moje sanatorium w roku 1946. Sanatorium przeciwgruźlicze PCK na Chramców-kach w Zakopanem. Miejsce zadbane, w lasku świerkowym, pełne pacjentów. Na pierwszy rzut oka miejsce pogodne, bo i służba sanatoryjna uprzejma, i pacjenci zdrowi, może trochę za zdrowi, pełni inicjatyw i planów na przyszłość. Trochę tylko pesząca tak zwana weranda przed- i popołudniowa, to jest przymusowe

79

leżenie w pokoju albo na dworze, kiedy dopisała pogoda. Był tam lekarz, bardzo miły starszy pan, który odznaczał się odwrotnym reagowaniem. Był optymistą, bo jak twierdził, choroba jest w zasadzie nieuleczalna. Miał aparat rentgenowski, chyba pierwszy rentgen wyprodukowany tuż po jego wynalezieniu. W związku z tym kabina, w której się znajdował, była tak ciemna, że zanim człowiek dotarł za płytę aparatu, rozbijał po drodze wszystkie przedmioty. Dopiero w tej ciemności nasz pan doktor krzyczał wesoło: "Brawo,

brawo! Tego się spodziewałem, nie zawiodłem się na panu! Jest! Jest!". "Co, panie doktorze?" "Kawerna wielkości..."

- tu przerywał, wpatrując się wnikliwie w aparat i kiedy pacjent nie wytrzymał i pytał, jakiej wielkości, odpowiadał: "Jak panu powiem, że dyni, to pan nie uwierzy". Innym razem mówił do siebie cichutko i rozpaczliwie: "Boże! Boże! Co się z panem dzieje? Niestychane! W życiu czegoś takiego nie widziałem", a kiedy pacjent już omdlewał, dodawał: "Jest pan zupełnie zdrowy", a kiedy pacjent mu radośnie dziękował, odpowiadał: "Nie ma za co". Odwiedzał nas też na codziennym obchodzie. Wpadał do pokoju żwawy i wesoły i pytał:

-Pan pluje?". "Nie". "To świetnie!" "A pan?"

- zwracał się do drugiego. "Tak". "To znakomicie!" - i wybiegał. Aż jeden pacjent się doczekał, zapytał: "Panie doktorze, dlaczego to dobrze, że ja pluje?".

"Klatka piersiowa oczyszcza się

80

z płuc". Krótco tam byłem, tylko półtora miesiąca i wyszedłem nie tyle zdrowszy, ile podniesiony na duchu.

I przyszedł rok 1949 - chyba najgorszy ze wszystkich.

Operacja była równoznaczna ze śmiercią. Za moich czasów w Krakowie na Zwierzyńcu mówiło się: "Po tego spod szóstego przyjechała w nocy karetka, podobno mają go operować" - co oznaczało, że co życzliwsi biegli do Norbertanek prosić Pana Boga, żeby sąsiada zechciał przywrócić do życia. W dzieciństwie dwukrotnie żegnałem się ze światem. Raz, kiedy pan doktor powiedział, że mam przepuklinę, i drugi raz to samo o ślepej kiszce. W obu przypadkach nie doszło do zabiegu, gdyż zanim to się stało, ten sam pan doktor w łaskawości swojej postanowił przypadki moje przedtem poobserwować. Obserwacja trwa do dnia dzisiejszego. Ale w końcu stało się. Zupełnie z innego powodu, ale stało się. Odpędzałem ten koszmar od siebie tygodniami, miesiącami, kiedy płynąca ze mnie krew kryłem przed oczami najbliższych, kiedy każda noc była przerażającą walką między nadzieją i rozpaczą, a dzień paniczną ucieczką do ludzi, do bycia wśród nich do upadłego, za wszelką cenę. I tak jak przystało na owe romantyczne czasy, szedłem sobie w deszczu i wietrze obcymi, jak mi się wydawało, ulicami, w wiosenne popołudnie, które w niczym wiosny nie przypomni-

81

nało. Do dziś nie wiem, co kazało mi się zatrzymać. Masywna tabliczka umieszczona tuż obok głównej bramy mówiła, że tu przyjmuje chirurg określonej specjalności, dr K..., od takiej do takiej godziny. Właśnie była ta godzina, dokładnie. W trochę zaniedbanej olbrzymiej poczekalni nie było nikogo. Kiedy usiadłem, opuściły mnie siły i wraz z nimi lęk, pierwszy raz od wielu miesięcy. Dlatego kiedy otworzył zapraszająco drzwi do gabinetu, wszedłem z ulgą. Już po kilku minutach wiedziałem, że trafiłem właściwie, że trzeba tu było przyjść o całe wieki wcześniej, na samym początku. Miał kwadratową twarz i małe, uciekające w głąb oczy. Badał mnie, jak wszyscy lekarze, w milczeniu, a kiedy w końcu powiedział, żebym nazajutrz przyszedł do szpitala, zdawało mi się, że nie powiedział nic. I tak to tajemnicę moją, ciągle tajemnicę, nawet przed matką, zaniósłem następnego dnia na Czerwony Prądnik do brudnego, zatłoczonego, cuchnącego szpitala ubezpieczalni społecznej. Najpierw zadał mi ból straszliwym badaniem "na żywo", bez

znieczulenia. Resztę doby spędziłem na przygotowaniach, po których domyśliłem się, że operacja jest nieuchronna. Położony w niewielkiej sali pełnej odoru ludzkiego cierpienia, popadłem w stan półświadomości i rezygnacji 2 gatunku tych, w których zatracą się poczucie czasu, a twarze innych ludzi stają się nieczytelne. W dalszym ciągu nie powiedział mi nic,

82

nawet wtedy, kiedy bezradnego, poddanego mechanizmowi rutynowych czynności, na które nie miałem żadnego wpływu, przewieźli mnie na salę operacyjną. Zanim zasnąłem, pochylił się nade mną - zobaczyłem jego twarz z bliska, inną niż zapamiętałem dotychczas. Nie mogłbym określić jej rysów, wiem tylko, co poczułem - chęć dotknięcia jej w geście czułości. Przychodził codziennie rano. Obchodząc salę, wydobywał z siebie jakieś nieartykułowane pomruki, burknięcia bez słów. Szybki, niezgrabny, objął się o kolejne łóżka, unosząc metalowe tabliczki z wykresem temperatury i opuszczając je z hałasem. Do mnie przychodził na końcu. Bez słowa siadał na łóżku, odrzucał koc i czekał na zdjęcie opatrunku, odrywając gwałtownie plastry, gdy wydawało mu się, że siostra robi to zbyt delikatnie.

Prócz ostatnich słów, jakie wyrzekł do mnie, żegnając się w dniu mojego wyjścia ze szpitala, odezwał się trzy razy. Raz: "Nie stękaj, to nie może boleć", drugi raz: "Nie wiem, jak podawać tę idiotyczną streptomycynę", i wreszcie kiedy pytałem go o rodzaj diety: "Może pan jeść wszystko".

A ten ostatni raz, przy pożegnaniu, powiedział: "Wie pan, dlaczego nic nie mówię? Bo mam żonę śpiewaczkę".

Nie różniłem się pewnie od nikogo w podobnych okolicznościach, kiedy wychodząc na ulicę w równie deszczową pogodę jak wtedy, kiedy

83

tu nastawałem, zdawało mi się, że wychodzę na słońce.

W rok później odwiedzałem grób ojca na cmentarzu Rakowickim. Na lewo, niedaleko głównej bramy, przystanąłem przy mogile pełnej świeżych kwiatów.

Na tabliczce przeczytałem: DOKTOR K... CHIRURG. Ilekroć tam jestem, zawsze zatrzymuję się przy tym grobie i zawsze zapominam kupić kwiaty.

Rok 1955 - stan najcięższy z dotychczasowych. Sanatorium Pocztców w Zakopanem na Antałówce.

Rokowania niedobre, więc leżałem sobie cichutko, zdeterminowany, bezwolny.

Pochylili się nade mną, dosłownie i w przenośni, najzaciejsi lekarze, jakich znałem, z charyzmatem "sprzed wojny", jak to nazywam, to znaczy z taką religią lekarską, która samo leczenie łączyła z troską o psychikę pacjenta, stosowną dla jemu tylko przyrodzonych cech charakteru. Państwo doktorostwo Łotoccy.

Przez pierwszy miesiąc dali mi spokój, ograniczyli się tylko do podawania leków. Nie był to już czas kamuflacji. Pojawiły się leki prawdziwe, rewolucyjne, ze streptomycyną na czele. Mimo to po trzydziestu dniach zostałem odwieziony na konsultację do sanatorium "Odrodzenie" do profesora Rzepeckie-go. Ten wybitny chirurg ftyzjatra samym nazwiskiem siał grozę wśród pacjentów, bo kontakt z nim oznaczał operację, wówczas jeszcze

ciężką i niebezpieczną. Profesor Rzepecki był rzeczywiście groźny, to znaczy wspaniały. Powściągliwy, oszczędny w słowach. Po przejrzeniu mojej historii choroby rozpoczął długie badanie. Werdykt brzmiał: "Nie nadaje się pan do zabiegu, przynajmniej na razie". Z tym wróciłem do Pocztców. Dość dobrze pamiętam moment powrotu, bo jak się potem okazało, był on decydujący w mojej suchotniczej karierze.

Kiedy stanąłem w progu pokoju, poczułem, że dotknęło mnie coś w rodzaju olśnienia czy niezwykłego przyływu energii. W każdym razie nagle zobaczyłem się, jeśli można tak powiedzieć, realnie, konkretnie. Zdałem sobie sprawę z wymiarów tego pomieszczenia, z pożytku łóżka i stołu, z wygody krzesła i w ślad za tym z tego, że jestem tu nie po to, żeby umrzeć, tylko żeby wyzdrowieć. Przyszykowałem balkonowe łóżko służące do leżakowania, włożyłem do śpiwora i położyłem się w nim na trzy miesiące, od listopada do stycznia. Dzień i noc, z krótkimi przerwami na jedzenie, leżałem na tym pokrytym dachem balkonie, wśród padającego deszczu, śniegu, pod zimnym słońcem albo ołowianym niebem. Co to było? Nie wiem. Wiem tylko, że ogarnął mnie spokój, wszechogarniający, bezwładny spokój. Czas płynął wolno i pożytecznie. Wypełniany snem i przebudzeniem, czytaniem książek i próbą regulowania oddechu, liczeniem kawek na drzewach

i słuchaniem przez radio muzyki, odwiedzinami gości i rozmowami z sąsiadami. W te dni pojawili się też trzej wielcy chorzy na płuca: Szopen, Słowacki i Proust. Zdawałoby się, że nic bardziej stosownego, jak odwiedzenie kolegi "po fachu", który w swoich smutkach, przypisywanej sobie nadwrażliwości, przecuciach śmierci, a także buncie przeciw niej wyrażanym przepływami gwałtownej tęsknoty za miłością - przywoływał ich obecność w sobie, czuł się im tak bliski, że każda wyrażana przez nich myśl, każda demonstracja uczuć wydawały mu się jak jego własne.

Tymczasem okazało się, że przyszli, żeby sprostować pewne powszechne o nich mniemanie. Wszyscy trzej zwrócili uwagę, że moja egzaltacja jest o tyle niewłaściwa, że po pierwsze trąci odrobiną megalomanii, a po drugie zamąca prawdziwy sens ich twórczości.

Że nie trzeba mylić tego, co chcieli powiedzieć, z tym jak to wyrażali. Na przykład pierwsi dwaj dowodzili, że to, co my dzisiaj nazywamy romantyzmem, nie było niczym innym jak koniecznością chwili. Obaj zostali w jakiś sposób wyrzuceni ze swojego kraju, który jeszcze na domiar wszystkiego stracił rację bytu, został skreślony z mapy Europy. Trzeba było do tego się odnieść. Usiłowali więc obok zdecydowanego protestu wobec tego faktu, który uznali za akt zbrodniczej niesprawiedliwości, szukać

przyczyn katastrofy w samych sobie. Wszystko więc, co pisali, było owocem ich nienawiści, goryczy, sarkazmu, stanów jak najdalszych od metafizycznych urojeń, przeciwnie, dających się zdefiniować psychologicznie. Natomiast sposób wypowiedzania się, język, jakim się posługiwali, musiał być zgodny z modą ich czasu. Czasu przerafinowanej, pełnej ornamentyki uczuciowości i nadmiernej gadatliwości. Była to broń w walce ze spuścizną oświecenia, które

w zadufanej wierze w potęgę rozumu, w sprawdzalny ogląd świata, zabrnęło w ślepy zaułek, stanęło przed ścianą nowej niewiedzy.

Proust zaś powiedział, że błogosławi swoją chorobę, ponieważ przez uwięzienie go we własnym pokoju, przez zakaz opuszczania go, otworzyła mu wspaniały obszar ograniczenia. Ograniczenia, które jest ojcem i matką wyobraźni. Stąd właśnie, z tych czterech ścian, nie ruszając się z miejsca, domyślił się świata. A ponieważ miał sporo czasu i materialny komfort, mógł sobie pozwolić na długotrwałe i szczegółowe badania. Jak perły na sznur nanizał na swoje pióro ludzi, przedmioty, zjawiska i powstał naszyjnik olśniewający, w którym każdy szczegół żyje własnym, idealnie zaprojektowanym życiem, a całość jest kształtem i duchem perwersji. Ale jeszcze, żebym nie zapomniał, wszyscy trzej panowie byli nie tylko czarujący i dobrze wychowani, ale przede wszystkim dowcipni.

Minęły trzy miesiące cierpliwie obserwowane przez lekarzy i wstałem. Wstałem, aby się poddać pierwszej od czasu nastania do sanatorium generalnej kontroli. Rozebrany do pasa, trzęsąc się z zimna czy strachu, stanąłem do badania. Było bardzo długie, za długie. Wreszcie usiadłem po drugiej stronie biurka, naprzeciwko doktor Łotockiej. Czekałem, aż skończy coś notować w swoich papierach. W końcu odłożyła wszystko i spojrzała na mnie. Wiecie, jak to jest, kiedy przestaje się oczekiwać na cokolwiek, kiedy świat zaczyna gwałtownie uciekać, znikać z pola widzenia, tracąc swą wagę i ważność. Przecież wyrok już zapadł szesnaście lat temu, dotąd czekałem tylko na jego wykonanie.

Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: "Stał się cud". Wiecie, jak to jest, kiedy wszystkie dzwony świata zaczynają grać, a z piersi wydobywa się szloch, którego nie potrafisz zamienić w śmiech. Objęła mnie i powiedziała, że nie powinienem się wstydić, że mnie doskonale rozumie.

Mam taki dar, a może przywarę, że zapominam. Zapominam tak definitywnie, że kiedy potem inni przypominają mi o przeżytej radości albo doznanej krzywdzie, do tego stopnia nie potrafię odtworzyć okoliczności wydarzeń, że nawet ich temperatura emocjonalna zanika, pozostawiając zaledwie ślad uczuć, a nie ich pełny wyraz. Pewnie dlatego łatwo przebaczam. Wystarczy mi się tylko trochę podlizać, żeby na

89

powrót pozyskać moją przychylność i ufność, mimo iż wiem, że postępuję głupio i lekkomyślnie. Ale nie zawsze tak jest. Z sanatorium zapamiętałem przecież i wyniosłem dwie nauki.

Nie wolno stosować żadnych diet. Ta obecna moda na diety jest przerażająca i kretyńska. Organy wewnętrzne człowieka po to są stworzone, żeby pracowały. Żołądek, wątroba, jelita, nerki mają swoje określone zadania i muszą je wypełniać, jeśli nie chcą być skazane na wymarcie. Tracenie na wadze jest objawem choroby. Nadmierne tycie wynika ze złej przemiany materii albo obżarstwa. Mówię o tym dlatego, że niczym w życiu tak się nie emocjonowałem jak cotygodniowym stawaniem na wadze i błaganiem Opatrzności o utycie, choćby dwadzieścia, dziesięć deka, bo to właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, oznaczało powrót do zdrowia. I wybłągałem. W ciągu czterech miesięcy przybyło mi siedem kilogramów.

I druga nauka. Trzeba bardzo uważać z tak zwanym przeżywaniem. Byłoby truizmem stwierdzić, że życie emocjonalne towarzyszy nam na równi z

funkcjonowaniem organizmu, więcej, że powodowane zmysłami stanowi obok intelektualnej, mózgowej dyspozycji drugą składową inteligencji. Jednakże dla higieny życia, dla zachowania trwałego zapasu energii, w końcu dla wygody współżycia z innymi ludźmi - winno być przedmiotem spekulacji. Tak

90

więc wybuchy emocji mogą mieć miejsce tylko w wypadkach skrajnych. Wtedy, kiedy splot okoliczności wprost domaga się upustu niekontrolowanej energii. Erupcja taka zawsze idzie w parze z ogromnym kosztem psychicznym, więc cena tego wysiłku tylko wtedy ma wartość, tylko wtedy odnosi skutek, kiedy to szaleństwo ujawniło się naturalnie, z organicznej potrzeby ekspansji uczuć. Z kolei permanentny stan pobudzenia emocjonalnego, szafowanie nim z byle powodu, przy każdej okazji, jest sygnałem choroby. Choroby niebezpiecznej i nam nienawistnej, bo zmierzającej do spalenia sił żywotnych, do wyjąłowania potencji, do dezorientacji w świecie uczuć.

Jestem przekonany, że spekulowanie emocjami, albo ładniej, kontrolowanie siebie w ujawnianiu uczuć, jest nie tylko możliwe, ale konieczne. To proces podobny do kształcenia siły woli, do wmawiania sobie wstrzemięźliwości.

Argumenty przemawiające na korzyść tego wysiłku są proste.

Nie ma takiego nieszczęścia, które by nie było mniejsze od tego, które nas spotka w przyszłości. Osiągnięcie możliwości usatkwowania emocji, opanowania gry uczuć, przynosi jeszcze inną korzyść. Stajemy się w oczach innych bardziej wiarygodni, nasza obecność wśród ludzi staje się pożądana.

Zegnam się z sanatorium. Tym wszystkim, którzy w ciągu tych lat mojej biedy, lat wstępu-

91

jącej młodości, czasu sięgania garściami po wszystkie dary życia, nie zauważyli mojej słabości i dopuścili mnie do swojego grona na równoprawnych z innymi warunkach, tym wszystkim z całego serca dziękuję.

Okupacja

W roku 1984 albo 85 na zaproszenie przyjaciół znalazłem się w Szwajcarii. W Zurychu miałem odbyć spotkanie z rodakami. Równocześnie ze mną przebywała tam Aleksandra Watowa i na jej życzenie organizatorzy połączyli nas w jednym polonijnym wieczorze. Jak to zwykle przy tego rodzaju okazjach, my, przybyli z kraju, mieliśmy obowiązek opowiedzenia o tym, co się dzieje, wyrażenia swoich opinii i przewidywań. Polski żywioł wkraczał dopiero w ferwor dyskusji, kiedy to w ścieraniu się różnych poglądów zacierał się jednolity punkt widzenia, jak to zwykle u nas, by w końcu, także po polsku, zakończyć się zbrataniem, wiarą w przyszłość i zgodnym "kochajmy się".

Ale tego wieczoru było inaczej. Pani Aleksandra zaczęła od zwierzenia, od opowieści o swojej wojnie, o niezrozumiałym szaleńczym zagubieniu w wielkim kraju, który uznał za właściwe i zwyczajne nie tłumaczyć się nikomu i przed nikim ze swojego bezprawia. I nagle, PO blisko pięćdziesięciu latach od tamtych dni, w Szwajcarii, w tym sterylnym uładowym

94

lüksie pojawił się Związek Radziecki. Jak obcy twór z wojen gwiazdnych, jak gigantyczne zagrożenie dla świata dawno urządzonego, rządzącego się dawno

zatwierdzonymi prawami. Pani Watowa mówiła spokojnie, z dystansem, jaki dzielił ją od tamtych lat, ale właśnie dlatego można było konkretniej, z chłodniejszą wyrazistością przyrzeć się tamtej rzeczywistości, której absurd nie da się porównać z żadnym obrazem ludzkich wynaturzeń. Nie ośmieliłbym się nawet zbliżyć do opisu tego makabrycznego pejzażu - zrobiło to już wielu wielkich pisarzy, naocznych świadków, ofiar tamtych losów. Słuchałem zdrętwiały. Nie dlatego, abym nic nie wiedział o tym skazaniu na klęskę nie dającą się porównać z niczym z przeszłości, bo nie klęskę przegranej wojny ani zemstę żywiołów, ale unicestwienie za sam fakt istnienia, za przynależność do określonego narodu. Słuchałem zdrętwiały i upokorzony, bo nas, tych po lewej stronie Wisły, ominął ten los. Byliśmy uczestnikami innej okupacji i choć oskarżeni za tę samą winę polskości, i ostatecznym wyrokiem na równi ze wszystkimi skazani na likwidację, to przynajmniej w warunkach systemu praw najeźdźcy, który usiłował go przestrzegać. To stwarzało pewne pole manewru, które nasz naród wykorzystał do granic możliwości. Od stworzenia armii podziemnej do dbałości o możliwie nieprzerwany tok intelektualnej ciągłości.

95

Do jakiego stopnia czas zweryfikował te dwa systemy? Czy pozostałość tego potwornego mariażu nie błąka się jeszcze w naszej świadomości, czy nie ma wpływu na ocenę obecnej rzeczywistości?

Wydaje się, że po Niemcach hitlerowskich nie zostało nic. Utopiliśmy pamięć o nich w kloace historii. Do tego stopnia, że obecne myślenie o Europie, w tym o zachodnim sąsiedzie, przemilcza ten niedawny koszmar i prócz sporadycznych sygnałów o tradycyjnym zagrożeniu nie wpływa na ogólną tendencję koegzystencji, na wiarę w kategorię nienaruszalności naszej wolności. Ze Wschodem jest trochę inaczej. To, że zakochał się w nas i od uroczystego ślubu z nami, tego sprzed dwustu lat, wszelkie nasze kroki rozwodowe traktuje jak chwilowy nasz kaprys - jest oczywiste. Przecież wpisany w organizm, głęboko zakodowany w genach jest jego ciąg do zbawiania świata. Trudno, żebyśmy nie stali się przedmiotem jego zainteresowania, skoro leżymy na początku drogi tej ekspansji. Ze swojego punktu widzenia ten nasz nie dość usatysfakcjonowany terytorialnie sąsiad jest w zgodzie z najprostszą logiką. Zdumienie może budzić tylko reakcja nas samych, zwłaszcza tych, którzy na własnej skórze zakosztowali bliskości obcowania z tym tworem. Oczywiście pomijam wszystkich prawdziwych zdrajców, którzy pod hasłem tak zwanej ideologii komunistycznej, z dyspozycji

96

wschodniego mocarstwa urządzili nam Polskę czterdziestu pięciu lat powojennych. Byli wypadkową wyniku wojny i zrzędzeniem decydentów o podziale Europy skorzystali z możliwości podporządkowania naszego narodu tym, którym służyli. Ale byliśmy, i w pewnym sensie nadal jesteśmy, świadkami innego zjawiska - trwającej fascynacji tym, co można by nazwać wiewem Wschodu. Nikt nie może nie dzielić podziwu dla fenomenu, jakim jest na przykład twórczość artystyczna tego regionu świata i znaczenia tej sztuki dla ogólnego dorobku kultury. Bez literatury i muzyki rosyjskiej byłibyśmy zubożeni o ogląd człowieka w jego najbardziej zagadkowych zakamarkach. Nikt też, kto zetknął się z tamtymi ludźmi, nie może stanąć bez podziwu dla ich inteligencji i wyobraźni, tej szczególnej wyobraźni, jaka pozwala na zobaczenie świata, na

dokonanie jego trafnej diagnozy bez fizycznej możliwości poruszania się w nim. No dobrze. Ale fascynacja, o której mówię, mogłaby być bezinteresowna, tak jak to ma miejsce w normalnych stosunkach między ludźmi, także w stosunkach między narodami. Niemcy podziwiają Francuzów za wyrafinowanie i finezję (Francji wystarczy zachwyty nad samą sobą), Skandynawowie chcieliby mieć temperament Włochów, Polakom imponują Stany Zjednoczone, a Amerykanom Europa. Nasz podziw dla Rosji trąci interesem, czymś w rodzaju przekupstwa za możliwość spokoju, a więc jest

97

falszywy. Dla nas i dla nich. Nawet kiedy jest szczery. Ale jest jeszcze coś gorszego.

U ludzi z tamtych stron, tych najbardziej narażonych na sowieckie wywózki i tych, którzy potem stamtąd powracali, nie można zauważyć tego, co widać przeważnie u skazanych na cierpienie - odrazy do sprawców cierpień.

Przeciwnie. Na wszystkie opowieści o swojej wojennej gehennie zarzucają miękczającą mgłę, która, zacierając drastyczne kontury, uwydatnia na poły męczeński, na poły sentymentalny obraz pogodzenia. Jakby w ich skazaniu na pogardę i upokorzenia nie było niczyjej winy, a ich pobyt tam był rodzajem misji, zadośćuczynieniem za własne i cudze grzechy. Skąd się to bierze? Co wprowadza tych ludzi w stan moralnej dezorientacji? Klimat tamtych stron? Pejzaż tej równiny, na której wszystko rośnie bez żadnej potrzeby, czy zimowy śnieg pokrywający nieprawdopodobne przestrzenie nieskalaną bielą. Czy może tamtejsi ludzie, ludzie dobrzy, uczynni, współczujący, bo na równi obciążeni nędzą. A może to jeszcze coś innego.

Bywa tak, że człowiek dręczony systematycznie z sadystycznym poczuciem dręczącego, że czyni to dla dobra ofiary, dla wyznaczenia mu właściwego miejsca podległego oprawcy, że taki człowiek zaczyna przywykać do swego uzależnienia i z instynktu samoobrony, instynktu życia, po prostu szuka ratunku we wmówieniu

98

sobie wygody psychicznej, aby z czasem doprowadzić się do uznania tego stanu za jedynie słuszny i pożądany. Nic dziwnego, że uwolniony, przywrócony do normalności staje bezradny wobec jej wymogów i ze łzami w oku powraca do czasu zniewolenia, głębszego, jak mu się zdaje, wznioślejszego od konieczności pobytu wśród tak zwanych wolnych ludzi. Widziałem dziesiątki tamtych twarzy, zagubionych i zdeglustowanych, które ożywiały się tylko na wspomnienie Rosji. Twarze ludzi, których pobyt tutaj i spojrzenie na Polskę są przez nich oceniane z punktu widzenia tamtej ojczyzny.

Świat zachodni w błogiej, przyrodzonej mu niewiedzy, z dobrodusznym uśmiechem niewiniątka namawia nas do przyjaznych stosunków z naszym wschodnim sąsiadem. Zgoda. Ale co ma zrobić mały kraj, żeby uśmierzyć w tym kolosie żądzę posiadania go. Kiedy żadne zapewnienia, żadne układy nie będą miały cech trwałości, a wszelkie kroki naprzeciw ufności po krótkim marszu zderzą się ze ścianą starych urazów. Więc może poczekać, jeśli to tylko będzie możliwe. Bez zachwyty i bez wrogości. Poczekać na zmianę uczuć niewątpliwie silniejszego od nas sąsiada. Ale pod surowym warunkiem, że w tym samym czasie zaczniemy wreszcie zajmować się sobą. I samodzielnie, bez

oglądania się na kogokolwiek, tworzyć rzeczywistość na miarę osiągnięć krajów cywilizowanych. Trzeba by może zacząć od zmiany stosunku do

99

własnego państwa i przyjąć do wiadomości po pierwsze - jego istnienie, i po drugie - obecność jego uznać za wspólne nadrzędne dobro. Takie przeświadczenie miałoby tę zaletę, że wszystkie niepowodzenia i błędy w budowaniu systemu współżycia bralibyśmy na siebie, a nie zwalali na zmystyfikowany abstrakcyjny twór ze stolicą w Warszawie. Że złodziejstwo, korupcja i bezprawie byłyby likwidowane w społecznym poczuciu odpowiedzialności, ze wszystkimi tego społeczeństwa prerogatywami, a tylko w imieniu państwa. Że priorytetem myślenia i postępowania w kształtowaniu narodu byłaby jednostka ludzka, każdy z nas z osobna, bo tylko poprzez troskę o nią, poprzez dbanie o jej znaczenie i godność można by się doczekać społeczeństwa moralnie dojrzałego. Godność. Tym jednym słowem można by określić wszystko, z czym inni musieliby się liczyć. Bo jest to poczucie własnej wartości i wielkoduszność, surowość wobec siebie samego i wspaniałomyślność wobec szukających pomocy. I honor. Ten szczególny stan ducha, który każe brać odpowiedzialność za własne postępowanie i jeśli trzeba, ponosić wszelkie jego konsekwencje. O co więc w rezultacie idzie? Jak powiadają przemyślni obserwatorzy życia: "Jeśli nie wiadomo o co chodzi - na pewno chodzi o pieniądze..." Ależ tak. Oczywiście, że idzie o dobrobyt. Ten materialny i ten duchowy. Bo jak dowiodły dzieje, tylko on stanowi o prawdziwej sile.

100

Coś mi się zdaje, że Rosja jest kobietą. Dużą, raczej czarną, urodziwą, demoniczną i liryczną na zmianę, rozlewającą się w dobroduszości i rozdawnictwie dóbr swojego ciała, ale z tego tytułu właśnie czerpiącą największe korzyści, bardzo zazdrosną i nade wszystko kłamliwą tym jedynym rodzajem kłamstwa, jaki jest udziałem wyłącznie kobiety, kłamstwa, do którego nie tylko nigdy się nie przyzna, ale za które, za zarzucanie go jej, trzeba przeproszać do końca życia. Czy nie warto przeciwstawić się jej zamożnością ducha i ciała, którą powyżej nazwałem dobrobytem? Może to byłby sposób na to, aby chęć zdobycia nas zamieniła na podziw.

I trochę od rzeczy - a może niezupełnie. Kiedyś, jeszcze za Breżniewa, po jakichś filmowych zajęciach musiałem wracać z Moskwy koleją. Podróż była częściowo nocna i uciążliwa. W moim przedziale z kuszetkami jechała bardzo miła staruszka. Opowiadała, że mieszka na Syberii i właśnie od trzech tygodni wędruje do Niemiec Zachodnich, do swoich dzieci, syna i synowej, których nie widziała od dwudziestu lat. Bardzo długo starała się o tę możliwość i teraz szczęśliwa i podniecona zmierza w nieznaną stronę. Wypytywała mnie, jak tam jest, jak tam jeszcze daleko i ile jeszcze granic trzeba przekroczyć. Nad ranem wygrzebała ze swoich tobołków coś w rodzaju pudełka czy kartonu, aby w tajemnicy, w przyływie ufności pokazać

I

101

mi ciasto. Ciasto rumiane i jeszcze pachnące, które upiekła przed wyjazdem i które było przysmakiem jej dzieci. Śmiała się i mówiła, że niczego innego nie

potrafiła wymyślić na prezent dla nich. Na granicy z Polską wkroczyła do wagonu umundurowana wataha ruskich żołnierzy czy celników i wiedzona nieomylnym instynktem runęła na ciasto staruszki. Rozkru-szyli je na drobny pył i poszli. Płakała już potem całą drogę, a w Warszawie, kiedy wysiadałem, powiedziała mi: "Przyjechałby pan do nas na Syberię. Tam jest naprawdę pięknie".

Tak. Moja okupacja była inna. Kraków oniemiał, stężał, i gdyby to było możliwe, zapadłby się pod ziemię. Zawsze był powściągliwy. Nie narzucał się nikomu. Pilnował swoich zabytków i pielęgnacji tradycji poświęcał więcej czasu niż budowie czegoś nowego. Teraz, kiedy defiladowym krokiem wkroczyła armia niemiecka, wyglądał jak ktoś, komu do mieszkania latami urządzanego, z kanapami, kredensami, stołami na dwanaście osób, obrusami i dywanami, wpuszczono stado świń. Powoli, systematycznie i sprawnie Hitler zaczął rządzić stolicę Generalnego Gubernatorstwa w głębokim przeświadczeniu, że po wiekach zerkania w stronę Wawelu znalazł się wreszcie u siebie. Nie byłem bezpośrednim świadkiem pierwszych miesięcy zadomawiania się Niemców w Krakowie. Najpierw siedem miesięcy niewoli, a PO powrocie już tylko łóżko. Leżałem zmorzony

102

chorobą półprzytomny, półuśpiony i tylko w gorączkowych przebłyskach świadomości dowiadywałem się o wywózce profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, o Oświęcimiu, o likwidacji tysięcy ludzi, o rozstrzelaniu jednej nocy pięciu chłopców z mojej ulicy. Wróciłem do przytomności, jakoś tak nagle, może dlatego, że w innym świecie, w miejscu, którego prawie nie znałem, w mieszkaniu mojego przyrodniego brata Józefa i przyrodniej siostry Heleny. Pewnej nocy matka przewiozła mnie do nich samochodem znajomych w lęku przed aresztowaniem. I tak zamieszkaliśmy wszyscy przy placu Dominikańskim, i już nigdy więcej nie wróciłem na Zwierzyniec. Zaraz potem pojawiło się coś, o czym dotąd nie myśleliśmy, nawykli do codzienności tej samej od lat, z tymi samymi porami roku i stosownymi do nich porami dnia - pojawiła się bieda. Niemal z godziny na godzinę, bliska tej, o jakiej można było wyczytać tylko w książkach o żebrzących sierotach. Moja biedna matka nie żądała niczego od nas, swoich synów. Miała ustalony tryb życia, któremu oddawała się bez poczucia zagrożenia, w niezmiennym rytuale. O siódmej rano szła do sklepu po bułki i mleko. O ósmej kościół Dominikanów, tuż przy domu, piękny, także gotycki, a jakże, pusty o tej porze, z przemykającymi zakonnikami w białych habitach. Ilekroć tam zajrzałem, siedziała sobie cichutko w ławce. O dziewiątej wracała do domu i potem była już tylko w kuchni. Po południu

103

szła do sąsiadek na "bajki". Wieczorem dzieliła się z nami najświeższymi wiadomościami, a każda z nich zapowiadała zwycięski koniec wojny. Przed zaśnięciem zaglądała do mojego pokoju i ostrożnie, żeby mnie nie zbudzić, poprawiała na mnie kołdrę. Tak ją zapamiętałem najbardziej. Bo teraz, kiedy wracam do niej po tylu latach, myślę sobie, że była przede wszystkim matką mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Potem opuszczała mnie stopniowo, a ściślej, pozostawiała mnie mojej samodzielności. Początkowo nie zachwycała się wyborem mojego zawodu. Marzyła dla mnie o czymś lepszym, że zostanę

na przykład wybitnym urzędnikiem magistratu. Ale potem przyjęła do wiadomości

104

moją obecność w tak odległym dla niej świecie, choć nigdy nie śledziła jej ze szczególnym zainteresowaniem. Chyba się nie pomyłę, kiedy powiem, że tylko raz widziała mnie na scenie. Było to przy okazji Odysa u Feaków, sztuki Stefana Flukowskiego o tematyce, jak łatwo się domyślić, antycznej, kiedy rozebrany prawie do naga wystąpiłem w niewielkiej roli. Wszyscy zresztą byli rozebrani, choć oczywiście z różnym sukcesem. Ja na przykład ważyłem wówczas czterdzieści osiem kilogramów, natomiast Władysław Woźnik grający Odysa - sto pięć. Otóż kiedy Woźnik wszedł na scenę, notabene wyłowiony z Morza Śródziemnego, moja matka zapytała sąsiadki, czy to ja. Stwierdziłem, że nie było szczególnego sensu w tym, aby namawiać ją do dalszego oglądania mnie w teatrze.

Dzieci również odwdzięczają się rodzicom za ich wyobrażenie o nich. Mieliśmy sąsiadkę, małą dziewczynkę, córkę malarza pokojowego, maleńkiego, niewiele wyższego od niej. Kiedyś odwiedziła nas przed jakimiś świętami i zastała moją matkę stojącą na krześle postawionym na stole i przyczepiającą do karnisza firankę nad oknem. Zawołała: "Jaka pani duża! Prawie jak mój tatuś!". Piękne są takie mniemania dzieci o rodzicach i rodziców o dzieciach, bo świadczą o wzajemnym zachwycie, a ten jest dzieckiem miłości.

Mówiłem, że dość wcześnie zaczęliśmy się z matką od siebie oddalać. Sprawilo to na pew-

I

105

no samo życie. Ja wywędrowałem z Krakowa. Matka w nim pozostała. Ale ta osobność miała nie tylko geograficzną przyczynę. Świat, który mnie ogarnął, był zachłanny. Nie traktował zdrady w postaci powrotu do realności. Zmusił mnie na wiele lat do trwania w nim, każąc wierzyć nie tylko w swoje powaby, ale także w jedyny jakoby sens. Moja matka zaś nie ruszała się z miejsca, bo było jej w nim dobrze. Nie tylko dlatego, że tak już jest w Krakowie. Że kopiec Kościuszki jest najwyższym wzniesieniem, Planty najpiękniejszym parkiem, a Wisła najpiękniejszą rzeką, ale z instynktownego przekonania o zbędności podróżowania, z lęku przed odwiedzeniem jakichś miejsc, które nie zastąpią wygody własnego domu. Albo może jeszcze z innego powodu, który tłumaczyłby taki mianowicie zdumiewający fakt, że nigdy nie zobaczyłem jej u siebie, nigdy nie była moim gościem. Otóż matka, mając czterech synów, nie przepadała za dziewczynkami. Nie, nie agresywnie, nie z kompleksu antifeminiz-mu, ale jakoś tak filozoficznie, raczej z miłości do chłopców. Raz baba wpadła pod tramwaj, pod trójkę na ulicy Sławkowskiej, tramwaj się wykoleił, a baba poszła do domu. Matka wróciła chora z przejęcia i powiedziała: "Gdyby to był młody człowiek, to by go zabiło". Dawała mi też bezcenne rady: "Jeśli żona powie ci, że się źle czuje - nie wierz jej - ona zawsze będzie się źle czuła, a ty umrzesz wcześniej. Kiedy żył twój

106

ojciec, którego bardzo kochałam, miałam reumatyzm, gruźlicę, raka, wszystkie nieuleczalne choroby, kiedy umarł, poczułam się jak nowo narodzona". Albo:

"Jeżeli już musisz zadawać się z tymi dziewczuchami, to przynajmniej z ładnymi".
"Dlaczego?" "Bo brzydkie są takie same". Tak więc się działo, że przez wszystkie moje dorosłe lata tylko ja odwiedzałem matkę w jej mieszkaniu przy placu Dominikańskim. I kiedy wpadałem, na ogół bez uprzedzenia, niezmiennie czekał na mnie wspniany obiad, niezmienna jej czułość dla mnie i te same pytania: "Czy wysypiasz się w nocy? Czy ona daje ci jeść? Dlaczego nosisz takie krótkie paletko? Na pewno marzniesz w kolana".

Umarła nagle, bez uprzedzenia, jakby nie chciała sprawiać kłopotu, w osiemdziesiątym szóstym roku życia. Kocham moją matkę. Młoda, pachnąca tylko jej perfumami, jak wtedy, kiedy pochylała się nad łóżeczkiem, aby pocałować mnie na dobranoc.

A w moim okupacyjnym Krakowie powracało życie silniejsze od tych, którzy chcieli zmienić je na pozór życia. Wraz z nim zaczęły funkcjonować instytucje. Cztery spośród nich były dobroczynne. Magistrat, elektrownia miejska, gazownia miejska i miejskie tramwaje. Chroniły u siebie nauczycieli, lekarzy, inżynierów, artystów. Poupychani, pełnili funkcje najczęściej odległe od swoich profesji i z czasem stali się kimś w rodzaju cichej elity tych zakładów. Brat mój,

107

przedwojenny podporucznik kawalerii (5. pułk ułanów w Ostrołęce, 22. w Brodach), poszedł do straży pożarnej. Ja dostałem się do gazowni. Trzeba było zarabiać na życie. O gazowni niewiele mam do powiedzenia, choć tak wiele, bo na całą wojnę zapewniła mi pracę. Wiem tylko, że było mi tam dobrze.

Po raz pierwszy zetknąłem się tak blisko z robotnikami. Byli nadzwyczajni. Praca nie była dla nich dopustem bożym, karą za grzech pierworodny, tylko oczywistym celem, korzyścią materialną, jaką z niej odnosili. Ich filozofią było przekonanie, że jakość życia, jego sens, a nawet jego uroda są uzależnione od jakości wykonywanej pracy, od sumiennosci i poczucia spełnienia jej do końca. Nietrudno sobie wyobrazić, że ten ich wysiłek, fizycznie nieporównywalny z innymi, był probierzem moralnym. Czymś w rodzaju znaku rozpoznawczego mającego świadczyć o człowieku w ogóle. Wyraźniej to mogłem zauważyć później, już po wojnie, kiedy znalazłem się na Śląsku.

Pamiętam, że kiedy tam nastąpiłem, chciałem uciec następnego dnia. Od szarości dymu, gmatwaniny szyn, brzydoty budynków. Ale kiedy później miałem możliwość zajrzeć do ich wnętrza, okazało się, że są schludne, zadziwiająco czyste i że mieszkają w nich ludzie zakorzenieni nie tylko w swojej pracy, ale także w głębokiej tradycji obyczajów. Że ich życie rodzinne, z matką na czele, pielęgnuje uczucie więzi i przede

108

wszystkim dbałość o przestrzeganie hierarchii, miejsca wyznaczonego poszczególnym członkom rodziny w zależności od ich wieku i stosunku do pracy. Matka była rozdawczynią chleba. Pierwszy otrzymywał go ojciec, potem dorośli synowie, potem córki, a na końcu dzieci. Wszystkie ważne problemy były rozstrzygane wspólnie, a powzięte decyzje miały wagę wyższą od wszelkich innych nakazów.

Tak zwani intelektualisci w przypiływie wzmożonego mniemania o sobie są skłonni uzurpować dla siebie zdolność pojmowania wyższych uczuć jako sferę szczególnego umysłowego wyrafinowania. Tam, na Śląsku, to nie oni, ale właśnie robotnicy powiedzieli mi pierwsi, że jeśli przychodzą na przykład do

teatru, to tylko po to, żeby pooddychać światem innym, wymyślonym, pełnym namiętności i zmysłowej mądrości, gdzie wszystko układa się jak w bajce, a nie jak w życiu. Tam właśnie byłem świadkiem bicia rekordów frekwencji na utworach Słowackiego, Wyspiańskiego, Fredry. Tam zobaczyłem klęskę socrealizmu, jawny bojkot jego obecności w sztuce.

Robotnicy. To komuna ich zdemolowała, pozbawiła autorytetu i godności. Najpierw nadała im tytuł przodującej klasy, potem ich okłamała, że będą rządzić, a kiedy niektórzy w to uwierzyli, zaczęła ich zabijać. W ogóle co to za kretyńska idea, aby dzielić ludzi na klasy społeczne. To tylko sposób na zantagonizowanie

109

wszystkich przeciw wszystkim i w konsekwencji klucz do bezkarnego rządzenia. Jeżeli ludzi można w ogóle dzielić, to tylko na mądrych i głupich, utalentowanych i niezdolnych, wrażliwych i chamów, i ci są wszędzie. W szkołach i wśród analfabetów, w fabrykach i na uniwersytetach, w mieście i na wsi.

W gazowni pełniłem służbę w straży fabrycznej, której zadaniem było strzeżenie poszczególnych obiektów. Dziwny to był oddział. Gromadził prawie wyłącznie przybyszów z zewnątrz, tych przygarniętych przez zakład i od początku, według niepisanej umowy, wyglądał na fikcyjny, sztucznie wymyślony i całkowicie zbędny. Czas pra[^]y w systemie 12 godzin służby na 24 godziny wolnego stwarzał wygodę dla tych, którzy nie chcieli tracić kontaktu z własnym zawodem, z własnymi zainteresowaniami.

Wypadałem z pracy jak bomba i, tylko ocierając się o dom, biegłem do swoich. Z przepustką w kieszeni umożliwiającą poruszanie się w godzinach policyjnych, w poczuciu wolności gnałem do miejsc, gdzie czekali na mnie moi najbliżsi. Skąd oni się wszyscy wzięli - nie wiem, a może nie pamiętam, ale kto z nas może ściśle odtworzyć okoliczności, w jakich w tym wieku odnajdywał przyjaźń i miłość. Byli znikąd, jak przypadek, jak znaleziony w śniegu pierścionek. Dziś mógłbym powiedzieć, że ciągnął nas do siebie wspólny typ wrażliwości albo nie

110

zorganizowana wówczas, ale instynktowna potrzeba konspiracji, czy raczej ucieczka w nią przed ciągłym zagrożeniem, kiedy każdy przejaw jawności mógł się zakończyć utratą życia. Ale wtedy nie byliśmy tego świadomi. To była tylko młodość znaczone siedemnastym, osiemnastym rokiem życia.

Około piątej rano odchodził z Bonarki - bo ona nam była najbliższa - pociąg na południe, w góry. Parowóz ciągnął niedużo wagonów, ale każdy był wspaniały. Osobowy, prawie pusty, i do każdego przedziału wchodziło się z zewnątrz osobnym wejściem. Mieścił osiem miejsc, dokładnie tyle, ile nas jechało. Cztery dziewczyny i czterech chłopców. Ławki były drewniane. Zaczynały się i kończyły oknami przeciwległych drzwi, tak że można było, nie ruszając się z miejsca, wyglądać jednocześnie z obu stron pociągu. Na początku jechało się przez wyziewy miasta, jakieś fabryki, pojedyncze brzydkie kamienice, baraki, dymiące kominy. Borek Fałęcki, Swoszowice, Skawina. A potem już otwarty świat. Różnił się od dzisiejszego może tylko jednym. Wszystkie pola, łąki i lasy wydawały się rosnać swobodniej, jakąś nieskrępowaną potrzebą rośnięcia, nie ograniczoną ludzką interwencją. Nie było szos, tylko miedze, ścieżki, przecinki leśne i

wydeptane kołami wozów i kopytami koni dróżki dojazdowe do wsi albo do granic pól, które wiły się także naturalnie, nie z potrzeby człowieka, tył-

111

ko wytyczone nietykalnością przyrody. Ponieważ powietrze było czyste, a ziemia zostawiona sobie, bez sztucznych nawozów, zapach pól, całej niezamieszkałej przestrzeni, był tylko zapachem wszystkich roślin razem i każdej z nich z osobna.

Pociąg jechał do Chabówki, a może do Wadowic, ale my wysiadaliśmy wcześniej. W Kalwarii Lanckoronie. Budynek stacyjny znajdował się po lewej stronie, tak że trzeba było przekraczać tory, aby wydostać się na zewnątrz, od razu do podnóża wzniesienia. Ruin zamku nie było jeszcze widać. Tonęły w lesie, który pokrywał całe lanckorońskie wzgórze. Było wpół do siódmej rano, kiedy ruszaliśmy do wsi, do ostatnich drzew na samym szczycie. Słońce świeciło ukośnie, nie demaskując jeszcze zieleni jednolitą jasnością, ale przez niedotarcie do wszystkich zakamarków lasu czyniło z niego labirynt światłocienia, tajemnicę odkrywaną krok po kroku.

Niedawno pewien mój znajomy opowiadał mi o swojej pięcioletniej wnuczce, która zmuszała go do opowiadania bajek, bez których odmawiała stanowczo zaśnięcia. Biedak wyczerpał już całą swoją wiedzę w tym zakresie, ale dziewczynka była nieubłagana. Pewnego kolejnego wieczoru usiadł przy jej łóżeczku z głębokim postanowieniem, że nic jej nie opowie. Ale dziecko oka z niego nie spuszczało, trzeźwe i czujne. Więc zaczął: "Była sobie dziewczynka, która poszła do lasu. Zbliżał się już wieczór,

112

robiło się ciemno, ale ona odważnie szła dalej. A w lesie, jak wiadomo, rosną różne drzewa, świerki, jodły, buki, dęby, sosny". Czuł, że za chwilę od kompletnej pustki pęknie mu głowa, ale brnął dalej: "A dziewczynka sobie szła, szła, szła... szła..." - wreszcie wnuczka wrzasnęła: "Aż tu nagle!!". Morał z tego jest taki: Nie należy wnuczek podniecać bajkami, bo nawet w lesie może się coś nagle przydarzyć. -1 właśnie wtedy się przydarzyło. Nie wiem, jak to opowiedzieć, bo po pierwsze, trochę się wstydzę, a po drugie, rzecz w swoim banale jest tak niewiarygodna, że może wyglądać na zmyśloną. Ale zdarzyła się naprawdę.

Dojrzały ostrężyny. Ostrężyny mają to do siebie, że są tak czarne, że aż granatowe. Są słodkie, ale z odrobiną cierpkości, która każe zjadać je tuzinami, bez końca. A kiedy spada na nie poranna rosa, wyglądają jak mieniące się srebrem czarne diamenty. Chcę po prostu powiedzieć, że są potwornie zmysłowe, tak jak bywają zmysłowe wilgotne usta dziewczyny. A jeśli na domiar wszystkiego dziewczyna ma oczy błękitne - nie można nie ulec szaleństwu, nie można nie zatracić się w dotyku jej ciała. I właśnie wtedy buchnęła muzyka. Najprawdziwsza w świecie. Absurdalna i gwałtowna, bo gnana i powiększana echem lasu. Organowa toccata i fuga d-moll Jana Sebastiana Bacha. Jak Boga kocham! Ciągłe opętam sobą zaczęliśmy biec w jej kierunku i w miarę zbliżania się

wszystko się wyjaśniło. W kościółku, w jednej z kalwaryjskich kaplic Grobu Matki Bożej, jakiś muzyk-organista ćwiczył sobie na miejscowych organach. Byliśmy sami. Usiedliśmy w ławce najbliższej ołtarza. Organista ciągle grał, jak się nam teraz wydawało, wyłącznie dla nas. Nie mogłem postąpić inaczej.

Wszystko się na to złożyło. Pochyliłem się do jej ucha i szepnąłem: "Kocham cię. Chcę, żebyś była moją żoną". Myślicie, że byliśmy odosobnieni. Wszyscy byliśmy wtedy sobie zaślubieni. Nie rozstawaliśmy się przez pięć lat wojny i w ciągu tych pięciu lat zaznaliśmy wszystkiego, co może przynieść miłość. Od dzikiej namiętności, poprzez dni zmęczenia i rodzącej się na nowo tęsknoty, przez ból podejrzeń, nieufności, ataków zazdrości do aktów skruchy, błagania o przebaczenie i nowych obietnic szczęścia.

Ale nade wszystko, w tej naszej grupie czterech par rodziła się i z biegiem czasu kształtowała potrzeba samookreślenia, zdefiniowania siebie w obliczu odpowiedzialności za przyszłość. Przez nikogo nie uświadamiani, a tym bardziej pouczani, w sposób tak naturalny jak sięgnięcie po wodę aby zaspokoić pragnienie, narzuciliśmy sobie obowiązek lojalności, tworząc wokół coś w rodzaju muru niedostępności, izolacji od innych, w tym także od własnych rodzin. A przyszłość? Nie pamiętam, abym kiedykolwiek potem, tak długo i z tak dominującą jej obecnością w sobie - żył nadzieją. I znowu nie było to tylko moim udziałem-

łem. Wszystkim nam pozostało tylko to. Pograżeni w klęsce, w morzu dokonującej się naokoło zbrodni, zapędzeni w prymitywną roślinność, sięgnęliśmy po najprostszy ratunek - nadzieję, wiarę w ostateczne przebudzenie z koszmaru. Takie były okoliczności, w których przyszło nam dojrzywać. W stosunku do następnych pokoleń, już tych powojennych, różniliśmy się tylko tym, że nam, obciążonym brzemieniem zagrożenia, towarzyszył pośpiech. Musieliśmy uciekać przed lawiną głązów, które zasypywały za nami drogę powrotu, ciągle do przodu, bez możliwości oglądania się za siebie. Wszystko inne było takie samo, takie samo jak dziś. Pragnienie czułości, ambicja sprostania ideałowi mężczyzny, budzące się marzenia o założeniu własnego domu. Może jeszcze tylko inny był sposób objawiania tego wszystkiego. Myśmy gadali. Ogromnie dużo gadali. Wszystko trzeba było wyrażać słowami. A ponieważ słowa mają to do siebie, że nie są skłonne do nazywania uczuć najtrafniej, więc trzeba je było mnożyć, i w tej walce z wiatrakami, w obliczu oddalającego się sensu, tworzyć pole zastępcze w postaci mówienia pięknego, ozdobnego, i właśnie od stopnia tej umiejętności zależał sukces. Dzisiaj młodzi ludzie mówią mało. Rzadko też dźwięki, jakie z siebie wydobywają, przypominają ludzką mowę, pewnie dlatego, że czas ostatni postarał się o to, aby słowo zakłamać, skompromitować, wołać więc fakty, konkrety, darzą je większym

zaufaniem niż słowa. Ale, jak wspomniałem, wcale to nie znaczy, że są inni niż my kiedyś, a tym bardziej gorsi.

W ciągu tych pięciu lat mieliśmy dwa zastępcze domy. Lanckoronę i tajemniczą willę przy ulicy Królowej Jadwigi, tę, o której w drugim rozdziale wspomniałem, że kiedyś do niej dotrę.

Lanckorona była naszą letnią rezydencją. Była to izba w wynajętej chacie. Stał w niej stół, kilka krzesel, na ścianach wisiały święte obrazki, a podłoga była zasłana słomą przykrytą lnianymi prześcieradłami.

Ilekoć jestem świadkiem dywagacji o jedzeniu, a teraz wypełniają one większość spotkań towarzyskich, nie mogę się wyzbyć współczucia dla tych wielbicieli francuskiej, włoskiej czy węgierskiej kuchni, którzy w ich smaku dopatrują się szczytu wykwintu i wyrafinowania. Biedni. Nie byli nigdy z nami w Lanckoronie. Wiecie, co to jest jajecznicza na śniadanie, z jajek, z których każde ma czerwone żółtko, przegryzana gorącym jeszcze wiejskim chlebem o chrupiącej skórce, z masłem zrobionym w domu, jedzona wspólnie z ogromnej patelni umieszczonej na środku stołu, na obrusie haftowanym w kolorowe polne kwiatki. Czy wiecie, jak wtedy smakuje gorące mleko prosto od krowy z rannego udoju. Czy jedliście kiedy na obiad młode ziemniaki z kwaśnym mlekiem wyniesionym z piwnicy w glinianym garnku, tak zsiadłe, że można

117

je krajać? Albo jedną z tych zup, z których każda jest ze śmietaną i pachnie albo jarzynami, albo pomidorami, albo zacierkami, które są okrągłe i rozplývają się w ustach, kiedy "na drugie" czekają pierogi z wiśniami, albo z czereśniami, albo z czarnymi jagodami, okraszone masłem i śmietaną, posypane cukrem, których jeść można nieskończoną ilość, bo są jak narkotyki. Czy wiecie, że kolację trzeba jeść już po letnim zachodzie słońca, a jeszcze przed zapadnięciem zmroku, w każdym razie przy zapalonych świecach. Chleb już nie jest gorący, ale jeszcze ciepły, a masło rzeźbione po wierzchu i zroszone wodą leży sobie w porcelanowej maselniczce. I teraz pojawia się coś, czego nie ma na świecie - polska szynka. Pięcio-, sześć- albo siedmiokilowa, z kością, długo wędzona, potem gotowana w olbrzymim garze

1 podawana w całości z kompletem kuchennych noży i widelców. Kraje się ją w plastry, a każdy z nich jest obrzeżony wstęgą słoninki. Jadana z chrzanem albo konfiturami z brusznic smakuje jak życiodajny ekstrakt najbardziej wyszukanych mięs. Popijana gorącą herbatą pozostawia za sobą niedosyt, którego nie wolno zabijać łakomstwem. Trzeba ją odłożyć do następnego dnia, tak jak odkłada się spełnienie rozkoszy.

Jest taki stan ducha, który nazywamy błogością. Trudno go zdefiniować.

Kojarzy się trochę

2 lenistwem, ale z lenistwem wiążą się wyrzuty

118

sumienia z powodu beczynności, straty czasu. Błogości one nie dotyczą. Przeciwnie. To swoiste uczucie nieważkości, obojętności, chciałoby się przedłużyć jak ładny sen, jak coś, co uwalniając nas od wszelkich obowiązków, niczym nie grozi, nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. Jest więc bliskie szczęśliwości.

Nic tak nie sprzyja błogości jak letni pobyt w górach. Może dlatego, że widzi się bardzo daleko, że patrząc na wznoszące się i opadające wzgórza, dostrzega się dobroduszość ziemi, pogodną aprobatę dla wszystkiego, co ją pokrywa - lasów, łąk, zbóż. A nawet kiedy pada deszcz, ziemia wygląda tak, jakby tylko na

chwilę skryła się za ciemnymi chmurami, aby zachwycić niespodzianką, kiedy zroszona wodą, oczyszczona, wychyli się znowu w pełnym słońcu. Lanckorońskie ranki i przedpołudnia były naszym hołdem za przychyłność natury. To zdumiewające, jak można tak kilometrami biegać po polach, nurzać się w trawie, albo z nosem przy ziemi godzinami zbierać grzyby, poziomki, maliny, albo stać przy kamienistej drodze i patrzeć na konie ciągnące wozy z sierpniową pszenicą. Po obiedzie, żeby zostawić dziewczyny same, w jakimś przeczuciu, że powinny być same, biegło się do stodoły pomagać zwałać siano, układać snopki zboża, robić cokolwiek w maniakalnej potrzebie pozbycia się sił, wyczerpania resztek energii. Dopiero zapadająca

119

noc, która od zapalonych świec smugami mroku pokrywała izbę, zastawała nas wreszcie zmęczonych. I wtedy właśnie, po kolacji, która była nie tylko kresem dnia, ale czymś w rodzaju nagrody za pełnię jego przeżycia, właśnie wtedy objawiały się dziewczyny.

Nie wiem, kim one są i nie chcę tego dociekać. Czy sublimacją szczególnej interesowności, która każe im domagać się dla siebie przywilejów niezbędnych dla ich twórczości, twórczości niezwyklej, wzniosłej i dramatycznej, nam mężczyznom obcej, całkowicie odebranej, której owocem jest urodzenie człowieka? Czy ta najprostsza przesłanka, tak prosta jak prosta jest sama natura, nie wyjaśnia wszystkiego, co dla nas jest w nich niezrozumiałe, począwszy od braku logiki, dzikich kaprysów, nieoczekiwanych decyzji, na wierności czy zdradzie skończywszy. Czy też są kimś innym. Tworem niezwyklej, demonicznym, prowokującym propozycją rozkoszy i niczym więcej. Istotami, których tajemnicy nie wolno dociekać, ale trzeba przyjąć ją bez zastrzeżeń i tylko odpłacać za ich obecność poddaniem i służalczością. Nie wiem. Dotychczas nie wiem. Do tego stopnia nie wiem, że gdyby mnie ktoś zapytał, jak ona, ta moja dziewczyna wygląda, ta dawna i ta obecna - nie umiałbym odpowiedzieć. A wtedy w tej izbie, już zgaszonej i tak cichej, że można było usłyszeć bicie serca, wiedziałem tylko, że muszę się położyć przy mojej dziewczynie, schronić

121

w niej, pograć w niej, jakby nikogo poza nią nie było na świecie. Właścicielem domu przy ulicy Królowej Jadwigi był Andrzej. Zajmował go z matką i z dwiema starszymi od siebie siostrami. Szczupły brunet, wysoki, blady, elegancki, ubrany od rana do późnej nocy zawsze na czarno. Miał długie ręce o pięknych dłoniach, którymi posługiwał się niezręcznie, jak czymś nie przyuczonym do obejmowania przedmiotów, do przenoszenia ich w miejsce dla nich przeznaczone. Nadmierna uwaga, jaką temu poświęcał, sprawiała, że milkły wszystkie rozmowy, kiedy wolnym krokiem, pochylony do przodu, zbliżał się ze szklanką herbaty, trzymaną zawsze oburącz i wyraźnie parzącą mu palce. Napięcie, czy uda mu się donieść ją do stołu, towarzyszyło nam wszystkim i było tak wielkie, że kiedy się to stało, ręce same składały się do oklasków. Tej jego cechy braku koordynacji, czegoś w rodzaju fizycznej dystrakcji, nie można było nazwać niezgrabnością. Przeciwnie, składała się na

wdzięk. Pewnie dlatego, że nie wynikała z rozpieszczenia, ale z bezradności. Chodził ostrożnie, klucząc, jakby chciał ominąć urojone na drodze przeszkody. Nie siadał, ale osuwał się na fotel - wybierał wyłącznie fotele, nie krzesła ~ i głębokim westchnieniem ulgi wydawanym z siebie przy tej okazji dawał do zrozumienia, że dokonał wielkiego wysiłku. Palił papierosy Przedłużone cygarniczką i popiół strzepywał

124

nie zauważanymi, sprawiał wrażenie przestępcy na chwilowej przepustce z więzienia. Ale kiedy już był, zachowywał się, jak powiadam, swobodnie. Zastawałem ich zawsze przy grze w karty. Lubił pouczać i choć jego perory dotyczyły na ogół gry - byłem zapraszany jako miłośnik kart - wyglądał tak, jakby wszystko lepiej wiedział. Ona była mu poddana. Tym rodzajem poddania, które najwyraźniej sprawiało jej przyjemność. Z przechyloną głową na prawe ramię, wpatrzona w niego kiedy mówił, na skutek czego zawsze napominana za opieszałość w grze, wracała do rzeczywistości niespiesznie, bez poczucia winy, łagodząc jego zniecierpliwienie przesłodzonymi przeprosinami. Lubiłem na nią patrzeć. Leniwa, trochę upozowana, stwarzała wokół siebie atmosferę bierności, ale właśnie przez to nieustannie absorbowała swoją osobą. Tak jakby sama jej obecność była wystarczającym powodem do adoracji. Może tylko jej spojrzenie, długie, skierowane zawsze w oczy rozmówcy, tańło gdzieś na spodzie, w ciemnościach źrenicy, rodzaj obietnicy, gotowość ujawnienia swojej intymności, pod prowokacyjnym warunkiem, że odpowie się jej tym samym. Wpadałem w tę pułapkę. Zauważony i zdemaskowany stawałem się przedmiotem jej okrutnych kpin, kiedy w pełnej wiedzy o moim stanie lekkiej utraty przytomności ostentacyjnie rzucała się na narzeczonego w zalewie niepohamowanej czułości. Te mo-

125

je upokorzenia, a może chęć ich zatarcia, sprawały, że ilekroć schodziła do nas "na salony", robiłem wszystko, żeby znaleźć się jak najbliżej niej i zawsze odnosiłem wrażenie, że i ona tego pragnęła. i

Królestwem matki była kuchnia, a wieczorami jej własny mały pokój. Jeśli można sobie wyobrazić stereotyp starszej damy, powściągliwej, wyrozumiałej i bardzo pięknej - taką właśnie była. Nie wiem, czy na pewno, ale zdaje mi się, że nosiła się podobnie jak Andrzej, zawsze na czarno. Jeśli można człowieka zobaczyć w jakimś » określonym stylu, trzeba by powiedzieć, że była gotycka. Wysoka, szczupła, głowę nakrywała koronkowym czarnym szalem, a rysy jej twarzy ascezą i szlachetnością przypominały rzeźby ze średniowiecznych sarkofagów. Cały jej sposób bycia wydawał się być świadectwem wierności wobec zmarłego męża. Był nauczycielem, dyrektorem gimnazjum i, jak wspominała, wzorem dobroci i prawości. Wszystko, co o niej mówię, nie ogranicza się, broń Boże, do pamięci o posagowej, trochę niesamowitej czarnej damie z angielskich horrorów. Była oczywiście żywa. I podejrzewam, że wszystko, co u Andrzeja było dowcipem i inteligencją, wzięło się z niej. Pamiętam jeden z wieczorów. Zwierzyła się nam z dramatu starszej córki. Otóż była ona zaręczona z bardzo pięknym pilotem, oficerem lotnictwa. Kochała go do szaleństwa, a on jej odpłacał tym samym. I niemal w przeddzień

ślubu zniknął, zniknął bez śladu i dopiero po jakimś czasie znaleziono go przy boku jakiejś rudej piękności. Analiza jego postępowania nie doprowadziła do niczego logicznego. Opowiedziała nam o tym piękną polszczyzną i zakończyła jedynie możliwą konkluzją: "Ta ruda - powiedziała - wzięła go, moi drodzy, na dupę".

Jeden jedyny raz w ciągu dnia zaszczycła nas swoją obecnością. W czasie obiadu. Był to czas, w którym jeszcze siadano do stołu. Pora od drugiej do wpół do czwartej po południu była zastrzeżona dla tego posiłku i nikt z domowników i gości nie miał prawa wyłamywać się z tego obowiązku. Siadała na szczycie stołu i swoją piękną osobą stanowiła o jego powadze i niekwestionowanym znaczeniu.

W takim to domu przy ulicy Królowej Jadwigi zbieraliśmy się całą naszą paczką przez ostatnie cztery lata wojny. Stało się to za przyczyną Andrzeja. To on nas zwabił, oswoił i na oścież otworzył nam swoją posiadłość. Z tego, co o nim powiedziałem, wynika być może, kim był. Ale niezupełnie, nie mówiłem, czym się wyróżniał. Starszy od nas, nie wiekiem, ale szczególną dojrzałością, patrzył na świat z wysokości nam wszystkim jeszcze niedostępnej. Jest bowiem rzeczą prawie niemożliwą, aby mając lat osiemnaście, zobaczyć tenże świat w takiej hierarchii zjawisk, która by pozwoliła na ogląd rzeczywistości nie w szczegółach, ale

w syntezie, w globalnym jej obrazie. Kierował nami w taki sposób, aby każdy nasz problem na tyle pomniejszyć i unieważnić, żeby dał się podporządkować temu, co dopiero nastąpi, a co będzie o wiele bardziej istotne. Był więc sceptykiem. Nietrudno sobie wyobrazić, że w tym trochę maniackalnym uporze, w przykładaniu miary względności do oceny wszystkich faktów, w nieustannych próbach hamowania naszego entuzjazmu, był bliski cynizmu. Tego rodzaju postawa nie jest czymś wyjątkowym. Wielu młodych ludzi, zwłaszcza w okresie dojrzewania, szermuje takim właśnie rodzajem nonszalancji intelektualnej, który miałby jakoby świadczyć o ich dojrzałości, ale na ogół jest to sztuczne, zewnętrzne i bierze się z próby naśladowania ludzi dorosłych albo swoich idoli. Podłożem zachowania Andrzeja był autentyzm. Taki się urodził i tak ukształtowała się jego wyobraźnia. Jest znamienne, że właśnie ten typ myślenia pociąga za sobą jeszcze inną skłonność. Do obsesyjnego szukania niezwykłości w rzeczach zwykłych, do tworzenia karykatury z wizerunku człowieka, docierania niemal do brutalności w kompromitowaniu uczuć. Jeździł na przykład na dworzec kolejowy i zakładał tam swój posterunek obserwacyjny na krótki czas przed godziną policyjną. Po to, żeby zwabić i zwerbować kilka wybranych wiejskich dziewczyn, spóźnionych na ostatnie pociągi, i zabrać je do domu. Z litości, jak mówił. Ale

głównie, żeby obserwować, jak niepewne i zażenowane pokładały się na materacach, którymi pokrywał kuchenną podłogę, i próbowały zasnąć w tym

obcym dla siebie otoczeniu. Kończyło się to na ogół nie snem, ale libacją z alkoholem na czele. I znowu bez powodu, który mógłby się kojarzyć z chęcią skorzystania z usług jednej z nich, albo nawet wszystkich razem, ale tylko po to, aby rano wypędzić je niemal z domu, ogłupiałe i bezradne. A więc chodziło nie tyle o moralny eksperyment, ile o satysfakcję z samej konstatacji, że wyjście poza banal dla ludzi niższej kategorii myślenia jest całkowicie niezrozumiałe. Miał też Andrzej przyjaciół spoza domu. W starej kamienicy przy ulicy Starowiślnej - pastora Kościoła Metodystów i jego żonę. Wiadomo było, że raz na miesiąc otwierają oni dom dla gości. Sami ich wybierali i trzeba było rekomendacji, aby otrzymać zaproszenie. Obowiązywał strój wieczorowy, przestrzegany surowo jako warunek uczestnictwa. Jak na okupację inicjatywa, co tu dużo gadać, ponętne. Biegliśmy więc do Teatru Juliusza Słowackiego do znajomego rekwizytora i od niego potajemnie wynosiliśmy fraki w komplecie z koszulą, muszką i lakierkami. Mieszkanie państwa pastorstwa obejmowało całe piętro i było równie olbrzymie co niewygodne. Począwszy od przedpokoju i kuchni zaczynał się ciąg niekończących się pokoi rozmieszczonych w amfiladzie, a okna każdego

129

z nich były zakryte szczelnie zaciemnieniem w postaci ciężkich aksamitnych kotar. Mebli znajdowało się tak dużo, że nie sposób było dostrzec ich urody. Tłoczyły się w każdym wolnym zakątku, tworząc ciasnotę nie do przebycia. W tych warunkach goście mogli tylko stać, i to bardzo blisko siebie, albo zwałać się na różne fotele, krzesła, kanapy i taborety. W ten sposób po pewnym czasie całe przyjęcie zaczynało wyglądać dosyć malowniczo. W każdym z pokoi zasnutych papierosowym dymem gnieździły się jakby upozowane postaci, tworząc obrazy w kolorze Rembrandta. Być może tak mi się tylko zdawało, ale musiało się zdawać, bo wszystko było odrealnione, utopione

130

w majakach, tak że nawet rozmowy docierały z oddali jak nieustający szmer bez słów. Ale nie to było atrakcją wieczoru. W łazience, między kuchnią a pierwszym pokojem, rezydował pan domu. Leżał w suchej wannie otoczony rojem mężczyzn i filozofował. Zapamiętałem jego wygląd. Był drobny. Jego szczupłość uwydatniał jeszcze ciasny smoking. Miał bardzo jasne włosy i niebieskie przezroczyste oczy, które wyglądały jak utopione w wodzie. Twarzy właściwie nie miał, może tylko usta, dziewczęce, wyraźnie czerwone. Przebijały się na plan pierwszy spod warstwy pudru, którym był pokryty. Mówiąc gestykulował, jakby rękami chciał zastąpić retorykę, uwydatnić jej plastyczność. Głos miał niski, wychodzący z głębi płuc, przyciszony, monotony, przesycony lenistwem. Nie można było oderwać od niego oczu. Najwyraźniej tego chciał, bo całe to jego "bycie" było precyzyjnie przemyślanym uwodzeniem. Stałem, w ogóle nie rozumiejąc, co mówi. Chyba niezupełnie z głupoty, bo wszyscy, którzy go słuchali, wyglądali tak samo. Nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. I dokładnie w chwili kiedy chciałem odejść, a ściślej, kiedy zacząłem zmuszać się do odejścia, zaczęło się. Podniósł się z wanny, lekko odsuwając innych dotknął mojego ramienia... odwrócił mnie i delikatnie popychając przed sobą, bez słowa, ruszył w podróż przez wszystkie pokoje. Tak dotarliśmy do ostatniego. Był

zamknięty. Zapukał, otworzył drzwi, zatrzymał się w progu i powiedział do kogoś w głębi: "Kochanie. Przyprowadziłem ci go. Przyjrzyj mu się". Przepuścił mnie przodem i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostałem sam. Jak można z obcymi dzielić się uczuciami, które są naszą własnością, zamkniętą w nas własnością? Jak można zdradzać ufność tej, która nas nimi obdarowała? Dlatego nie powiem nic. Ponad to, że była porażająco piękna. Leżała w łóżku, a właściwie w wielkim łożu zasnutym jakąś delikatną tkaniną, wsparta o poduszki. Patrzyła na mnie długo, zanim wyciągnęła rękę, żebym się zbliżył. Przysiadłem na brzegu łóżka. Miała złotorude włosy, olbrzymie zielone oczy mieniące się morzem i piękne piersi, zmęczone, ułożone do snu. Zapytałem: "Czy pani jest chora?". "Nie". "Pani płacze". - Nie odpowiedziała. Nocą biegłem pustymi ulicami, gnany gorączką, targany dygotem, z obrazem tego domu, który w miarę oddalania stawał się coraz bardziej niesamowity, jak mara, jak dręczące przywidzenie. Dokładnie po miesiącu poszliśmy tam znowu. Miesiąc był już chyba późnojesienny, bo o szóstej było ciemno. Na parę kroków przed wejściem do domu zatrzymał nas jakiś człowiek i wciągając w załom muru, powiedział: "Nie wchodzić tam. Gestapo. Kocioł. Siedzi mnóstwo ludzi. Podobno są jakieś trupy". Co się stało, nie dowiedziałem się nigdy. Wtedy ani po wojnie. Kim była - do dziś nie wiem. Czy żyje, czy

wtedy tam została zabita. Można by dopełnić jej obraz. Obraz kobiety będącej tylko eksponatem swojego męża, poddanej jego perwersji, wymyślonej i bezpłodnej. Dziewczyny skazanej przez mężczyzn za piękno jej ciała. Kicz - powiecie. Może. Ale co mnie to obchodzi. Nie wymyśliłem go. To Andrzej go wyreżyserował, chroniczny aranżer niezwykłości.

Nie powiedziałem dotąd, czym w istocie był dla nas dom przy Królowej Jadwigi w te jesień-no-zimowe wieczory wojenne. Kim byłem w nim ja, wyznaczony przez przyjaciół do roli specjalnej - animatora zabaw, a właściwie czegoś, co można by nazwać potrzebą ucieczki od codzienności, od atmosfery czczości, kiedy matowieje obraz świata, a wszystkie czynności stają się bez sensu. Poczucie oddalania się od przyszłości powoduje, że zaczyna się uważniać codzienność i w tym zahamowaniu miary czasu stajemy się wobec siebie agresywni, sprawy nieistotne olbrzymieją. Tak też było z nami. Błahostki urastały do problemów, ekscytowały, a w końcu męczyły. Ratunek się znalazł. I to nie jako pomysł, jako antidotum na marazm. Pojawił się naturalnie jak wypogodzenie po burzy. W stanie ducha, o jakim mówię, i w tym wieku bywa tak, że ni stąd, ni zowąd zaczyna się pisać wiersze. Nie trzeba z tego sztydzić. Taka potrzeba nie bierze się tylko z chęci epatowania swoją wrażliwością, ale chyba z czegoś bardziej istotnego. Poezja, ta zapisywana przez poetów,

nie jest tylko określonym gatunkiem literackim uprawianym dla upiększania rzeczywistości, dla pogłębiania przeżyć, ale jest przede wszystkim fenomenalnym wynalazkiem umożliwiającym człowiekowi ucieczkę od świata. Wyjściem naprzeciw przyrodzonemu każdemu z nas pragnieniu, aby wszystkie utrapienia życia, poczucie skazania na życie, zamienić na nadrzeczywi-stość. Czym jest wyobraźnia dziecka, które w ułamku sekundy potrafi z niczego stać

się bohaterem wszystkich przygód, jeśli nie wejściem w nadrealną sferę poezji. Czym są nasze dojrzałe już tęsknoty za zrealizowaniem siebie w innej wersji charakterologicznej, te przed-senne marzenia o byciu kimś innym, niż się jest, jeśli nie chęcią pozbycia się ułomności ograniczenia, która każdemu z nas jest przypisana. I choć często nie zdajemy sobie z tego sprawy, w tym właśnie momencie stajemy się poetami na swój użytek, kreatorami nierzeczy-wistości, która nigdy ucieleśnić się nie może.

Andrzej cały dom, jeśli można to tak niefachowo nazwać, zradiofonizował. To znaczy prawdziwe, tajemnicze radio funkcjonowało, w piwnicy słuchaliśmy codziennie BBC, ale nie ono było przedmiotem naszej dumy. Na poddaszu w maleńkim pomieszczeniu znajdowało się wewnętrzne studio nadawcze z mikrofonem i wszystkimi potrzebnymi urządzeniami, a w każdym pokoju i kuchni mieściły się głośniki. Studio służyło do nadawania

134

komunikatów i informacji o bieżących sprawach obecnych i nieobecnych, ale raz na tydzień zamieniało się na miejsce artystycznych występów. Każdy mógł zgłaszać swoje propozycje. Na własne ryzyko, bo nie obowiązywał nakaz ich wysłuchiwania. Wszyscy mieli prawo robić, co im się żywnie podobało, więc łatwo sobie wyobrazić, że miarą sukcesu nadawcy programu był stopień zainteresowania odbiorców. Z czasem ta zabawa przekształciła się w rodzaj turnieju, w którym każdy z nas prze-ścigiwał się w pomysłach na oryginalność. Były monologi, skecze, recenzje z widzianych filmów, przeczytanych książek, opowieści z własnych przeżyć i parodie każdego z nas. Ja byłem od wierszy. Co tam przy tej okazji wyprawiałem, nie pamiętam. Wiem tylko, że lubowałem się w tekstach smutnych, bo tylko przy tej okazji mogłem się wyplakać. Widocznie byłem przekonany, że to najlepsza metoda "złapania" słuchacza, zarażenia go wzruszeniem. Swoją drogą to ciekawe, jak wcześniej u tych, którzy zdradzają skłonności do publicznego występowania, pojawia się kabotyństwo i ile trzeba wiedzy o naturze aktorstwa, żeby go uniknąć. Zaszyty w dziupli pod strychem gadałem bez przerwy, dzień i noc. Dziś zastanawiam się, skąd się to wzięło. Niewątpliwie z fascynacji, zauroczenia poezją, bo niewiele z niej rozumiałem. Najlepszy dowód, że kiedy po latach wracałem do tamtych tekstów, że

135

zgrozą stwierdzałem, że zupełnie co innego znaczą. Czym więc wtedy dla mnie były, że nie mogłem się wyzbyć skojarzeń z nimi nawet we śnie. Na pewno podziwiałem w nich nazwania. Piękne, trafne nazwania rzeczy, zjawisk, stanów ducha, których treść była oczywista, ale które przybrane w formę stawały się czymś więcej niż samą treścią. Myślę jednak, że przede wszystkim zafascynowany byłem ich muzycznością. Jeśli w recytowaniu łacińskich strof wierszowanych wystarczyło akcentowanie rytmu znaczonego ściśle stopami rytmicznymi, aby porywały nie tylko muzycznością ale i treściowym znaczeniem, jeśli akcent emocjonalny dotyczył całych okresów tekstu, a nie poszczególnych słów, to czy uwzględnianie logiki muzycznej nie byłoby wystarczającą metodą na przekaz nie tylko niezwykłości, ale i sensu poezji. Tym bardziej że w klasycznej konstrukcji naszych strof obok wyraźnego podziału na średniówkę i koniec wersu poeci zaproponowali rym, ten prawie czarodziejski klucz do zamykania ciągu słów zwieńczającą puentą. Rym. Nie

jest tylko mechanizmem kończącym okres myślowy. Bo kiedy w sposobie akcentacji znajdziemy powód, aby się nim pochwalić, to bardzo ważne, dlatego powtarzam: pochwalić, dokonamy odkrycia, że przy okazji interpretacji każdego utworu, niezależnie od tego, jakie uczucia zawiera, będzie można ujawnić prawdę, nieodłączną dla każdej

136

twórczości, że wszystkim, co tworzymy, towarzyszy radość. Jest pewien rodzaj satysfakcji graniczący z rozkoszą, której źródła nie da się zdefiniować. Dzieje się tak na przykład przy rozwiązywaniu zagadki niewiadomych w algebraicznym równaniu albo w czasie słuchania barokowej muzyki polifonicznej, kiedy pierwszy temat przetworzony wariacjami wyłania drugi, w pewnym sensie zantagonizowany w stosunku do pierwszego, aby wreszcie zakończyć ten spór triumfującą koda, końcowym akordem pojednania. Dokładnie tak czułem, kiedy udawało mi się muzykę wiersza zharmonizować z jego sensem. Widocznie coś musiało być we mnie z podatności na działanie dźwięków, skoro potem, już w życiu zawodowym, wszystko, co było inspiracją, brało się u mnie w o wiele większym stopniu ze słyszenia teatru niż z jego widzenia. Przy okazji słówko o tych inter-pretatorach poezji wierszowanej, którzy na gwałt chcą zrobić z niej prozę, w myśl idei, że dopiero wtedy będzie zrozumiana. Mówią więc "logicznie", a rym jako zbędna narośl błąka się gdzieś po peryferiach mówienia. Drodzy naprawiacze! To prostactwo i po prostu głupota. Nikt, poza wariatami i zaczarowanym dorożkarzem Gałczyńskiego, nie mówi w życiu wierszem. Wierszem nie należy kupować biletu na autobus ani nawet mówić nim w łóżku do kochanki. Jest to mowa nadnatu-

137

ralna i służy do wyniesienia spraw ponad rzeczywistość, z określonego powodu i wyłącznie w okolicznościach związanych z językiem sztuki. Dlatego jej formę trzeba zachować, aby mogła służyć temu, do czego jest przeznaczona. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że teatr w ogóle wziął się z muzyki, że zanim zaczął być mówiony, zapisany jako dramat w obecnym jego kształcie, był pieśnią - to zdolność słuchowa jego twórców zdaje się być bliższa, bardziej dla niego przydatna niż to, co nazywamy wrażliwością plastyczną. Jest przecież tak, że dzieło malarza, obraz, nie "rusza się", jest statyczny i taki pozostaje. Jego ekspresję, a więc dzieło, uruchamia wyobraźnia odbiorcy, to ona, na podstawie tego, co widzi, buduje jego dramaturgię. Teatr "rusza się". Jest wypełniony bezustannym dzianiem się, choćby dlatego, że jego substancją twórczą jest aktor, żywy człowiek, nie wymaga od widza tworzenia dramaturgii, jest mu ona dana, więc charakter odbioru jest inny, przeciwny procesowi zachodzącemu przy oglądaniu obrazu. Patrząc na teatr ustatyczniamy go. Zachowujemy w pamięci jego jednolity, zatrzymany wizerunek. Dlatego reżyserzy-plas-tycy nie powinni się bać aktorów, zamieniać ich na rekwizyty albo obarczać tekstami nie z tej sztuki. Przeciwnie. Zachowując ich przy scenicznym życiu, uwydatniają tylko plastycz-

138

na wizyjność swojego dzieła, właśnie umuzy-czniają ją, a więc czynią zgodną z naturą teatru.

Przed rozstaniem się z willą przy ulicy Królowej Jadwigi, skoro żegnam się z nią wspomnieniem o początkach mojej fascynacji, z tym, co w przyszłości miało się stać moim zawodem, pragnę jeszcze powiedzieć, że na nic nie przyda się wiedza o rzeczy aktorskiej, perfekcyjne opanowanie techniki, zdolność przeistaczania się w dyktowane przez rolę różne wersje człowieka, sprawność intelektualna i bogate wnętrze, jeśli obca nam będzie pewna prawda, która nie wszystkim jest dana. Że o sukcesie stanowi dawanie, a nie branie. Że pożytkiem aktorstwa, miarą jego godnego wypełnienia będzie tylko to, co przełożymy innym. Dlatego w czasie pobytu na scenie nie wolno nam zapuszczać kurtyny przed zakończeniem przedstawienia. Nie wolno nam zapominać o obecności tych, którzy przyszli tu dobrowolnie w nadziei na wzruszenie, na zdobycie wiedzy o sobie. Nie wolno nam pogrążyć się wyłącznie w sobie, z bezwstydem i bezkarnością, nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, kiedy robimy to prawdziwie, z zaangażowaniem wszystkich swoich talentów. Nie tylko dlatego, że w ten sposób sprzeniewierzymy się zasadom twórczości, ale że przez ten wybór złej religii artystycznej zasłużymy sobie na miano błaznów.

139

Skończyła się wojna, a z nią pamięć o niej, albo raczej pragnienie, aby zapadła w niepamięć. Zaczęły się oddalać przyjaźnie, wiadomości o wspaniałych dziewczynach i chłopcach. Wszyscyśmy się rozeszli. Strasznie nagle, niemal z dnia na dzień. Andrzej, ten niezwykle, wyrazisty, czarujący Andrzej, zniknął z mojego życia. Tylko jakieś niejasne słuchy dotarły do mnie, że się ożenił i że umarł. Nie wiem jak, w jakich okolicznościach, ale na pewno za wcześnie i okropnie niezasłużenie. Moja dziewczyna poszła sobie gdzieś, w swoje życie, a ja pobiegłem do teatralnej szkoły.

Po wojnie

Tak mi się zdaje, że wszystko, co się wiąże z moimi ostatnimi krakowskimi latami, odbywało się w deszczu. Także mój gorączkowy bieg z placu Dominikańskiego przez Grodzką, Rynek Główny i Mikołajską na sam koniec Szpitalnej, aby zdążyć na wstępny egzamin. Był chyba marzec 1945 roku, trwała jeszcze wojna, kiedy dowiedziałem się, że przy Teatrze Juliusza Słowackiego tworzy się studio, szkoła dramatyczna, i że przyjmie wszystkich chętnych, którzy nie przekroczyli któregoś tam roku życia. Biegłem gorączkowo jak na spotkanie kogoś bliskiego, na kogo czekało się bardzo długo, albo do czegoś, co miało być ucieleśnieniem przeczuwanego zaledwie zdarzenia. Zmierzałem do odkrycia wnętrza tajemnicy, dotąd niedostępnej, zakłętej w czarodziejskim gmachu przy placu Świętego Ducha. Jednym tchem runąłem na komisję egzaminacyjną całym bagażem uczuć, gromadzonym przez lata wierszowanych wyznań miłosnych, potajemnych prób grania w moim teatrze wyobraźni Dziadów i nade wszystko Słowackiego. Uznałem więc jak

142

zwykle za stosowne zapłakać się na śmierć przy okazji prezentowania jego Testamentu i Tuwi-mowskiego Piotra Płaksina. Mimo to zostałem

przyjęty.

Zacząły się trzy lata nieobecności w domu, oddalenie od dotychczasowych przyjaciół, odejście od rzeczywistości. Życie moje zamknęło się między trzema pokojami z kuchnią, z których zrobiono szkołę, a mieszczącymi się sto kroków naprzeciwko teatru. Zaczął się czas zatracenia w nowym fascynującym świecie. Dziś nie pamiętam szczegółów tego życia. Wiem tylko, że moje wyobrazenie teatru z naiwną wiarą w jego siły nadprzyrodzone zamieniało się powoli w wiedzę o nim, w pewność, że wszystko, co tworzy teatr, co składa się na powstanie przedstawienia, jest dziełem świadomości. Wynikiem pracy żmudnej, pełnej zasadzek i niepewności, ale której rezultaty da się ocenić na podstawie określonych kryteriów i technicznej znajomości rzeczy. Podobnie jak to ma miejsce w innych dyscyplinach twórczości, w muzyce czy malarstwie, gdzie jakości dźwięku czy umiejętności posługiwania się pędzlem można i trzeba się nauczyć. Że łaski natchnienia, tego najbardziej urodziwego dziecka talentu, można doczekać się tylko wtedy, kiedy gotowe już dzieło, zmierzone i wyliczone, można przedstawić z czystym sumieniem, bez lęku przed zaniedbaniem czegokolwiek.

Droga do teatru była różnorodna, ale zawsze ściśle związana z grą aktorską; pokonując ją, nie

143

czuło się ani przymusu, ani wysiłku. Przeciwnie. Byliśmy niesieni falą entuzjazmu, a wszyscy, którzy nas uczyli, byli nam bez reszty oddani. Był więc profesor Zygmunt Leśnodorski, który powiedział nam wszystko o teatrze europejskim, a czyniąc to, uświadamiał nam, że jest on tylko częścią całego obszaru kultury, wypadkową jej rozwoju i zmienności. Świetny kompozytor Artur Malawski nie zadowalał się tytułem przedmiotu: umuzykalnianie. Wiódł nas w środek muzyki przez znajomość nut do harmonii i kontrapunktu, przez przymusowe słuchanie muzyki i jej rozróżnianie. Teofil Trzciniński, reżyser, dyrektor teatru, jeden ze współtwórców "Zielonego Balonika", uczył nie tyle dykcji, ile umiejętności jej "wyśpiewywania", delektowania się samą konstrukcją i brzmieniem sylaby, przekonując, że dbałość o czystość słowa otwiera sens myśli, umożliwia odkrywanie treści, pobudza grę wyobraźni. Karol Frycz, wielki Karol Frycz. Suchy, zgarbiony, wysoki, wychowany w szkole taktu i dyskrecji, przemykał się koło nas bezszelestnie, wszędzie obecny i zdystansowany. Mówił cicho, monotonna i fascynująco. O sztuce, historii sztuki. Ale bez ambicji nauczyciela, bez dbałości o chronologię. Po prostu opowiadał, a każda jego opowieść miała swoją dramaturgię. Były więc wspomnienia z Chin, zachwyty nad kolorem starożytnej Grecji i symetrią Rzymu. Dywagacje

144

o architekturze, o jej funkcji praktycznej i bezinteresownym pięknie. Krzywienie się na bryłę Bazyliki Świętego Piotra, która z pewnej odległości z pociągu zbliżającego się do Świętego Miasta wygląda jak młyn do kawy. Zauroczenie ołtarzem mariackim Wita Stwosza, pasjonująca analiza figur tego tryptyku, postaci wyrrywających się z więzów średniowiecza do wersji człowieka cielesnego. Rzeźba. Droga, jaką odbyła od Praksytelesa do rzeźby

współczesnej, od piękna obiektywnego, epickiego do psychologicznej indywidualizacji.

Było jeszcze wielu nauczycieli, teoretyków i świetnych aktorów praktyków, ale ponad wszystkimi mój własny święty, patron uczących się aktorstwa - Władysław Woźnik. Był bryłowaty i duży. Twarz miał kwadratową, oczy niebieskie i uśmiechnięte. Pochodził z proletariatu, z krakowskiego Zabłocia. Wychował się w biedzie tej społeczności i wyniósł z niej wszystko co najcenniejsze: szacunek dla ludzkich umiejętności i ten szczególny rodzaj inteligencji, którego źródłem jest zdrowie zmysłowe. To ono właśnie, prócz tego, że widział, słyszał, czuł z niebywałą ostrością, pozwalało mu patrzeć na świat nie w rozbiciu na poszczególne elementy, postrzegane i analizowane oddzielnie, ale jak na twór syntetyczny, złożony z wzajemnie przenikających się i zależnych od siebie zjawisk. Był więc wyznawcą i bezwzględny strażnikiem hierarchii, którą

145

budował sam i egzekwował jej przestrzeganie. Na szczycie jej stała wielka Tajemnica, przeczucie Boga, którego nie usiłował i nie chciał zrozumieć, ale który niewątpliwie był dawcą dobra i prawości i do którego zmierzanie opłacało się w życiu. Potem było piękno. Ale nie to profesjonalne, wystylizowane ani nawet to żyjące w tysiącach dzieł artystów, ale to, którego należało szukać i znajdować we wszystkim, co nas otacza, każdego dnia i przy każdej okazji. To właśnie umiejętność dostrzegania piękna była dla Woźnika probierzem człowieczeństwa, miarą wartości.

Uczył nas mówienia. Próbował dowieść, że ten podstawowy środek aktorskiego wyrazu kryje w sobie demoniczną pułapkę. Tę mianowicie, że usiłowania, aby za pomocą słów, tylko słów, można było wyrazić stan ducha i umysłu, są płonne. Że to słowa, właśnie w momencie ich wypowiedzenia, zjadają sens wypowiedzi, czynią ją odległą od wcześniej powziętej myśli. Ale dlatego, że tak jest, walka o słowo, wiara, że w końcu stanie się ono spełnieniem intencji, winna być motorem energii, źródłem emocji. A więc nie samo uczucie, nie sama myśl, ale uparta chęć ich sformułowania staje się główną grą namiętności. Tak postawiona sprawa pociągała za sobą, jak można się domyślić, ogromne konsekwencje. Dawała odpowiedź na odwieczne pytanie, czy aktor przeżywa, czy udaje, eliminowała ekshibicjonizm,

146

ale przede wszystkim otwierała drogę do twórczości. Tak, Władysław Woźniak uczył poezji, umiejętności jej wyrażania, posługiwania się nią, a czynił to tak prosto i naturalnie jak ten, co hojnie rozdaje wszystko, co posiada, nie zdając sobie sprawy z tego, że cokolwiek posiada.

I na koniec. Był jeszcze jeden człowiek, bez którego nie byłoby tej Szkoły i pewnie przy okazji - nas, a w każdym razie nas takich, jakimi jesteśmy. Wiesław Górecki. Nie wiem, kim był - profesorem, pisarzem czy krytykiem; pewnie każdym i nikim z nich. Cichy, bezradny, naiwny do granic wytrzymałości, mieszkał - tak się nam zdawało - w szkole, bo zawsze był obecny i czekał na nas o każdej porze dnia i nocy. Był ofiarą najdzikszych naszych kawałów, ale

też naszym spowiednikiem, powiernikiem zwierzeń i lekarzem, lekarzem-specjalis-tą od naszych lęków, smutków i dramatów. Odwzajemnialiśmy mu się miłością i czułym nad nim opiekuństwem. A w każde jego urodziny całą szkołą szliśmy ostentacyjnie pochodem spod teatru do Rynku Kleparskiego, gdzie mieszkał, aby mu złożyć życzenia. Najpierw wrzaskiem potwornym pod oknami, który gromadził tłumek przechodniów, potem w mieszkaniu przy przepysznym torcie i winie i w obecności jego pięknej żony, która grała na wiolonczeli. Proszę mi wybaczyć, że przy okazji wspominków o początkach teatralnych zatrzymałem się

147

na chwilę tylko przy kilku osobach. Ale to oni właśnie, ci ludzie wielkiego serca i moi dobroczyńcy, kojarzą mi się najsilniej z tamtym czasem.

Był jeszcze jeden, największy zresztą. Wszyscy oni, zanim ich poznaliśmy, byli owiani legendą. Mieliśmy ogromne szczęście, to biedne pokolenie wojenne, że od razu po wejściu do teatru zostaliśmy przez niego wchłonięci, właściwie bez zaczerpnięcia oddechu. I oni wszyscy, ci wielcy, robili wrażenie, jakby na nas czekali.

Przed świętami Bożego Narodzenia czterdziestego piątego roku przyszedł do nas, do maleńkiej naszej szkoły, Juliusz Osterwa. Był średniego wzrostu, twarz miał przeciętną do tego stopnia, że nigdy nie mogłem zapamiętać jej rysów. Tylko oczy, których prawie nie było, pozostały mi w niej do dzisiaj. Długie, przykryte prawie całkowicie powiekami dwie szparki. Ale ciemność - czerń lub brąz - która się z nich przedostawała, miała nieprawdopodobną przenikliwość. Patrzył na każde z nas osobno i długo. Miał przylepiony do ust zmęczony uśmiech, kiedy usiadł na środku pokoju, otoczony nami i rozpoczął... milczenie. Jak się potem okazało, była to jego broń najpotężniejsza. Są dwa rodzaje pauz stosowanych na scenie. Jedną nazywamy dziurą. Jest pusta, nic nie znacząca i wygląda na ogół na utratę pamięci. Druga, pełna, jest zasadniczą częścią mówienia. Pojawia się w chwilach często nieoczekiwanych

148

i bywa najbardziej sugestywnym nośnikiem treści. Osterwa był mistrzem tej drugiej. Mieliśmy wtedy nadzieję, że przyszedł do nas na wykład, żeby powiedzieć coś o teatrze, a może nawet dowiedzieć się czegoś o nas. Ale on, po tej swojej ciszy, zaczął nam mówić o Bożym Narodzeniu, o znaczeniu i wyglądzie tego święta. Zapamiętałem etiudę o opłatku. O tym, jakie skojarzenia winna budzić jego biel, co kryje się w dźwięku jego łamania, kiedy dzieląc się z najbliższymi składamy im życzenia. Co robić, by wypełnić je treścią, aby samo zasiadanie do wieczerzy, do wigilijnego stołu, było aktem pogody i nadziei. A my, pochłonięci całkowicie jego sugestywnością, zafascynowani czarem jego osoby, tłumiliśmy w sobie czające się podstępnie podejrzenie, że przecież wszystko, co robi, jest w jakiś sposób sztuczne, udane. Ale kiedy wyszedł, pozostało po nim niemal miłosne pragnienie, aby nie rozstawać się z nim, aby go znowu zobaczyć.

W Przepióreczce Żeromskiego widziałem Juliusza Osterwę dwanaście razy w tym samym krakowskim przedstawieniu, bodaj na przełomie lat 1945-46. Z gronem profesorów z Warszawy zjechał do niedużej wsi z wątpliwymi tradycjami, o których świadczyć miały jakoby ruiny zamku, stojącego oczywiście na wzgórzu. Od początku wiadomo było, że Przełęcki różni się od reszty

luminarzy nauki w tej ich społecznikarsko-kulturotwórczej misji, że na rzecz całą

149

patrzy z wyraźnym sceptycyzmem. Zgodził się na uczestnictwo w przedsięwzięciu z ciekawości, z przekornej ciekawości intelektualisty. Teraz będzie się przyglądał temu, co z tego wyniknie. Awanse podstarzałej księżniczki, właścicielki ruin, przyjmuje z całym cynizmem, załatwiając z pozorną wzajemnością pieniądze do projektowanej inicjatywy zagospodarowania zamku. Robi to bardziej dla profesorów niż dla siebie, dostrzegając zabawność i utopijność całej imprezy. Wreszcie Smugoniowa. Na początku zobaczył ją na pewno w realnej wersji, taką, jaka była, ładną, młodą nauczycielkę z dzieckiem, z jakimś mężem, w małej wsi. Ale od momentu, w którym spostrzegł, że jest przedmiotem jej fascynacji, w nagłym pomysle na zabicie czasu rozpoczął grę wychodzącą naprzeciw narzucającej się okazji. Rozkochanie w sobie Smugoniowej stało się świadomym procesem mistyfikacji. I jak to zwykle bywa z intelektualistami, w tej dosyć perwersyjnej zabawie doszedł do zatraty poczucia rzeczywistości na rzecz domniemanego autentyzmu swoich uczuć. Smugoniowa z ładnej zrobiła się piękna, z przeciętnej niezwykła, z obojętnej pożądana. I pewnie zabrałby ją do tej Warszawy w całkowitym nieprzewidywaniu konsekwencji tego faktu, gdyby nie wejście w sprawę Smugonia. To nagle ostrzeżenie, nieodparta słuszność argumentów tego "prymitywa", doprowadza Przełęckiego do wściekłości. Poniewiera Smu-

150

goniem bez litości, używając najbardziej perfidnych chwytów w postaci wizji szczęścia snutych na użytek Smugoniowej, posługując się językiem na tyle wyszukany, aby ogłupić ostatecznie nieszczęsnego męża. Wreszcie bezsilny wpada na pomysł klęski. Słowa: "Bo takie są moje obyczaje", w ustach Przełęckiego brzmią jak nowa koncepcja, znacznie lepsza od poprzedniej. Wzrusza się, jak artysta w wnie twórczej i pobudzony tym faktem zaczyna realizować nowy wariant swojej osoby, wariant szlachetności. Oddaje Smugoniową mężowi, porażając ją odrazą do siebie w scenie pełnej lubieżności i wyuzdania. Ostatni zaś akt konfrontacji z profesorami, rujnacji całego przedsięwzięcia, jest piekielnie inteligentnym popisem demagogii. Końcowe słowa piosenki Uciekła mi przepióreczka śpiewanej przez działwę szkolną brzmią sentymentalnie i gorzko.

Pewnego dnia, na jednym z kolejnych przedstawień, Osterwa wszedł na scenę drugiego aktu, na pierwszą wielką scenę rozmowy ze Smugoniową, nie jak zwykle podekscytowany, zniecierpliwiony, nie rozpoczął od razu dialogu, ale po otwarciu drzwi stanął w nich, nagle zatrzymany obecnością Smugoniowej. Patrzył na nią długo. Potem, jakby w poczuciu winy, w olbrzymiej pauzie, rozpoczął nieporadną wędrówkę po scenie, szukając, jak się okazało, gwoźdźnia w ścianie, na którym mógłby zawiesić palto i kapelusz. Znalazł go wreszcie. Kapelusz

151

spadał kilkakrotnie, zanim dał się umieścić na gwoździu. Potem ruszył w kierunku ławek szkolnych, żeby usiąść. Zmieniał kilka razy miejsce, zanim

znalazł najdogodniejsze. Wyjął pudełko z tytoniem i bibułkami, zrobił skręta, zapalił. Wszystko to zanim powiedział: "Dlaczego mnie pani odwołała z wycieczki na zamek?". Nie był to jak zwykle wyrzut, ale coś, czym chciał się usprawiedliwić, przeprosić. Tego wieczoru Przełęcki zakochał się w Smugoniowej naprawdę. Rozmowa ze Smugoniem była rozpaczliwą próbą ratowania miłości. Rezygnacja z niej prawdziwym wyrzeczeniem. Obrzydająca go scena ze Smugoniową wyglądała na chęć uczuciowego samobójstwa. Wreszcie akt ostatni stał się wyraźnym dla wszystkich profesorów pokazem poniżenia. Uciekła mi przepióreczka zabrzmiała tragicznie i wzruszająco. Następnego dnia Osterwa odwiedził nas w szkole. Zapytaliśmy, dlaczego wczoraj tak grał. "Bo wiecie - odpowiedział - kiedy wszedłem na scenę, zobaczyłem, że pani Zaklicka ma oczy pełne łez, naprawdę płacze. Zrobiło mi się jej żal, nie mogłem być dla niej niemiły". Musiał myśleć już wcześniej o tym, że w jego Przełęckim jest coś, co mu nie odpowiada. Decyzję powziął wcześniej. Była na pewno mglista, niejasna, jak dolegliwość, której nie potrafimy zlokalizować. Dopiero ta przypadkowa, niespodziewana dogodność - łyzy pani Zaklickiej - konieczność nagłego zahamowania rytmu grania,

152

otworzyły mu oczy na dotychczasową pomyłkę, na inną interpretację roli. Widziałem go potem na próbach Fantazego, reżyserował, a my byliśmy zobowiązani uczestniczyć w nich w ramach odbywanych studiów. Były to lekcje wspaniałe. Życzyłbym dzisiaj studentom wyższych szkół teatralnych, aby program ich uczelni, tak hermetycznie zamknięty przed teatrem, uwzględniał możliwość tego rodzaju uczestnictwa w powstawaniu przedstawienia. Osterwa prowadził próby powoli, bez pośpiechu, jak się nam zdawało, skupiony bardziej na dygresjach niż na meritum sprawy. Postawił na przykład na scenie, gdzie siedziało się przy stole, tablicę szkolną z gąbką i kredą i sprowadził astronoma, aby wyjaśnił domniemaną konstelację, którą w tekście Słowacki nazywa: "skrzypeczką z gwiazd". Potrzebne to było Zdzisławowi Mrożewskiemu, grającemu rolę Jana, aby mógł ustalić kierunek patrzenia w niebo, i co ważniejsze, aby ową "skrzypeczkę" ukonkretnił, zobaczył tak, jak rzeczywiście wygląda. Dla błędzącego w romantycznych zawilościach Jana pomysł Osterwy okazał się zbawienny. Mrożewskiemu w tym błysku trzeźwości objawił się sens całej roli. Grał ją potem niezwykle interesująco, łamiąc dotychczasowe tradycje interpretacyjne. Dla teatru skończyło się to nieco gorzej. Zdolny i przystojny astronom

153

zarażony Osterwą zrobił się aktorem, potem pierwszym sekretarzem organizacji partyjnej, potem nawet rektorem krakowskiej szkoły teatralnej i psuł wszystko, czego się dotknął. Spośród całej obsady Fantazego Osterwą wybrał sobie jedną osobę, której poświęcił większość prób. Wyglądało to tak, jakby uznał, że tylko jej jednej warto pomóc. Albo może, że tym sposobem zdoła wyznaczyć wszystkim pozostałym kierunek pracy, sens tego, czego od nich oczekuje. Osobą tą była Aleksandra Śląska. Próbowała rolę Stelki, a my wszyscy patrzyliśmy na to jak zagorzali kibice sportowi, którzy chcieliby, żeby faworyt wygrał. Była naszą koleżanką i szczęście, jakie na nią spadło, kiedy wezwano ją do teatru, było, jak

się nam zdawało, częścią i naszego sukcesu. Ruda, piegowata, z niebieskimi oczami, rzuciła się na rolę z żarliwością jej tylko właściwą. Chciała za wszelką cenę czuć i zrozumieć wszystko od razu i bez wątpliwości. Domagała się tego każdym nerwem, każdym drgnieniem ciała. Osterwą to oczywiście zobaczył i rozkosz, z jaką się temu przyglądał, można było tylko porównać z rozkoszą smakosza na widok ulubionej potrawy. Wiedział doskonale, co należy z tym fantem zrobić i zabrał się do tego z niezwykłą precyzją. Ogólnie mówiąc, cały jego wysiłek sprowadzał się do ujarzżenia temperamentu Śląskiej, a ściślej do wykorzystania go na użytek rozumu. Pamiętam te niekończące się godziny,

154

w których zmuszał rozgorączkowaną Stelkę do mówienia na płaczu - w scenie drugiego aktu z Janem, kiedy relacjonuje mu nieszczęsną sytuację Diany, kazał jej ten cały duży monolog wypłakać. Ale w taki sposób, aby nie dodać dźwiękiem ani jednej sylaby do tekstu, aby łązy zmieścić jedynie w brzmieniu słów. Co miało jej w tym pomóc, to ściśle dbanie o zachowanie średniówki i końca każdego wiersza, pancerz formalny, dyscyplinujący oddech, a więc rytm frazy. Dopiero po tej lekcji techniki pozwolił jej uświadomić sobie, że rzecz odbywa się w nocy w ogrodzie, blisko domu, i że nikt z tam obecnych nie może odkryć tej potajemnej schadzki z Janem. Osterwa uzyskał wszystko, czego chciał. Z rytmu wzbierającej fali uczuć wynurzała się krystalicznie podana poezja, przejrzysta, wzruszająca, dziecinnie prosta.

Nigdy już potem nie usłyszałem tak mówionej Stelki. W życiorysie Aleksandry Śląskiej była to pierwsza, wcale nie mniej od następnych ważna kreacja. Do końca mówiła, że zetknięcie się z Osterwą było najważniejszym wydarzeniem w jej artystycznym życiu.

A on sam. Słaby, toczony najstraszliwszą chorobą, nie miał grać Fantazego, próbował z innym aktorem. Na dwa albo trzy dni przed premierą zdecydował się wejść na scenę. Jak wiadomo, grał Fantazego przedtem wiele razy, był przygotowany. Ale to, co wtedy pokazał, nie mogło być porównywalne z niczym. Pierw-

155

szy i ostatni raz widziałem ostateczne rozstanie aktora ze sceną w tak wstrząsającej postaci. Oczywiście nie grał Fantazego Juliusza Słowackiego. Grał własne umieranie. Czy możliwe to było w tej sztuce, w tej genialnej komedii, która między innymi traktuje o parodii śmierci, kpi z jej uwznioślenia. A jednak działało się tak, że kiedy mówił: "Rzeczniczki! Jestem trup", teatr zamierał z grozy. Kiedy grał ostatnią scenę z Idalią na cmentarzu, parodia samobójstwa zamieniała się w pragnienie śmierci, w nadzieję na jej zbawcze ukojenie. Czy wszystko to razem było jeszcze jednym pokazem kabotyństwa, do którego, jak mówiono, Osterwa miał skłonności. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Był aktorem

7

156

największym, jakiego widziałem i tym usprawiedliwiał wszystko. Prawdopodobnie tyle w nim było teatru, co życia, i trudno dzisiaj powiedzieć, od

czego zaczął tę swoją wielką mistyfikację. Opowiada się o nim zabawną anegdotę, że kiedy chował swoją pierwszą żonę, po oficjalnych uroczystościach pogrzebowych pozostał długo przy grobie, klęcząc w błocie i deszczu. Jakaś wzruszona tym widokiem dama podeszła do niego i powiedziała: "Panie Juliuszu! Jest pan w swoim bólu wstrząsający". Osterwa zza złożonych rąk wyszeptał: "A widziała mnie pani w kaplicy?". Myślę sobie, że może on chciał dać do zrozumienia, że za to swoje nieszczęście - niezdolność do uczuć wyższych - chciał odpłacić się, obdarowując innych możliwością ich przeżywania.

Są ludzie sztuki, którzy sens uprawiania jej upatrują w konieczności uporządkowania wizerunku świata. Wierze, że światu w ogóle można i należy nadać sens. Stworzyli kryteria dobra i zła, piękna i brzydoty i w przekonaniu o ich niezmienności przedstawiają nieustannie przykłady rządzące egzystencją człowieka, badają zależności istoty ludzkiej wobec natury, wobec domniemanej siły nadrzędnej.

Na przykład starożytna Grecja, wymyśliła los jako determinantę życia i wobec tego wyroku uczyniła nas bezbronnymi. Jakakolwiek próba zahamowania biegu tej maszyny, która wyznaczyła nam ściśle określony czas życia, miejsce

157

bytowania i takie a nie inne działania, jest wysiłkiem jałowym. Miotani bezsilnością w sieci przeznaczenia możemy jedynie zdobyć się na opisywanie świata, a nie jego zmienianie. Chrześcijaństwo zaś obdarowało nas wolną wolą i fakt ten zrewolucjonizował nasz stosunek do życia, do dotychczasowego poddaństwa. Powiedziano nam, że los nie tylko możemy, ale musimy kształtować sami, że od naszych indywidualnych wyborów zależeć będzie jakość pokonywanej drogi, więcej, że za wybór ten będziemy ponosić odpowiedzialność jako jedyni sprawcy własnego bytowania.

Nie sposób ocenić mi korzyści płynące z obu tych odkryć ludzkiego geniuszu. Ile na przykład z poczucia piękna, pasjonującej możliwości badania zależności zjawisk dali nam Grecy, proponując zachwyty harmonią, symetrią i logiką, a ile Szekspir, który do niejasnego poczucia nieuchronności dodał przypadek, ten diabelski, przewrotny bakcyl, niweczący wiarę w jakąkolwiek logikę, w sprawczość ludzkiego umysłu, odkrywając wszystkie zawłości psychologii, skłaniając do drobiazgowego badania pobudek ludzkich czynów. Jedną wszakże okoliczność pomimo różnic światopoglądowych czyni nas podobnymi. Nie wiem nawet, czy nie jest jedynym, wspólnym dla wszystkich, znakiem człowieczeństwa. To jest tęsknota za światem wyobrażonym. Światem idealnym, w którym wszystkie normy estetyczne i wszystkie normy moralne znalazłyby

158

urzeczywistnienie. W którym uwolnieni od wszelkich ułomności moglibyśmy realizować siebie. Czy teatr nie jest wynalazkiem materializującym to pragnienie. Czy źródłem jego powstania nie jest owa instynktowna, irracjonalna chęć towarzysząca nam od progu świadomości, aby oderwać się od rzeczywistości, porzucać ją na rzecz innej, budowanej uwolnionej od wszelkich ograniczeń grą wyobraźni. A zatem być teatrem to nic innego, jak tylko powołać do życia iluzję. Zgoda na jej zaistnienie jest tak spontaniczna, że wystarczy ograniczyć się do umownych znaków, aby porozumieć się co do czasu i miejsca

dziejącej się rzeczy. Tak było w teatrze greckim, w teatrze szekspirowskim i tak jest do dziś.

Z aktorem nie może dziać się inaczej. Co w końcu robi, aby być wiarygodnym i prawdopodobnym w tej nieprawdopodobnej w stosunku do realnego życia sytuacji. Dokonuje w pewnym sensie rzeczy heroicznej. Porzuca siebie ze wszystkim, co ma z psychiki i w dużej mierze z fizyczności, aby w żadnym wypadku nie narazić się na identyfikację z sobą samym. Uwolniony w ten sposób od własnych ograniczeń wchodzi z odwagą w świat wyobrażonej postaci. Wypełnia ją kimś, kim w prawdziwym życiu nigdy nie mógłby być. Jest to więc zabieg kompensacyjny. Realizacja czegoś, co nawiedza nas tylko w marzeniu. Przed zaśnięciem, kiedy na przykład rozpamiętywując miniony dzień, dokonujemy oceny naszych zachowań, chcąc

159

na próżno cofnąć czas, który pozwoliłby nam słabość zastąpić siłą, tchórzostwo pewnością siebie, głupotę mądrością. Albo kiedy stając przed trudnym dylematem oszukujemy siebie złudzeniem sukcesu, nie mając żadnych podstaw psychicznych, fizycznych czy charakterologicznych na jego osiągnięcie. W teatrze, na scenie, mit o sobie samym staje się mną autentycznym.

Co umożliwia wejście w ten stan nadświadomości? Bo przecież akt owej transformacji jest procesem świadomym, wynikiem swoistych i studio w. To, co inni, patrzący z zewnątrz, przy-jpisują natchnieniu, które z kolei nie jest niczym (innym, jak tylko poczuciem absolutnej pewności, że obrana droga jest jedynie słuszna i wynika z różnych zbiegów okoliczności, nieoczekiwanych olśnień, których się pragnie, na które się oczekuje, ale których przecież nie można wypracować. A więc co pomaga w materializacji świata imaginacji? Przede wszystkim fakt, że scenariusz wydarzenia i jego bohaterowie są znani. W stabilnym, zamkniętym dziele pisarza, właśnie w ograniczeniu, pole interpretacji, wbrew pozorom, poszerza się. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale przecież nieograniczenie, jak na przykład łańcuch codzienności, nie sprzyja szczególnemu skupieniu, szczególnej mobilizacji sił. Przeciwnie, w niewiedzy jutra czyni nas bezwolnymi, leniwymi, poddanymi siłom zewnętrznym. Ale wszędzie tam, gdzie stajemy przed sytuacją przymusową, zdeterminowani

160

koniecznością jej sprostania, ograniczeni określonym czasem - przed ważnym egzaminem, przed nagłym przymusem niesienia pomocy, w więzieniu, jako uczestnicy zawodów sportowych - niemal zatrzymujemy biegnący czas, aby skupić się na gromadzeniu potencji, mobilizacji intelektualnej, bogatszej niż kiedykolwiek grze wyobraźni. Sztuka, wszelka twórczość jest przypadkiem wyjątkowo zamkniętym.

Drugim czynnikiem sprzyjającym przeniesieniu się w iluzję teatru jest publiczność. Pragnie dokładnie tego samego co my na scenie. Zatracenia się w innej rzeczywistości. I czyni wszystko, aby tak się stało. Być może kiedyś przemyślni fizycy zmierzają, porachują i nazwą ten szczególny rodzaj wymiany energii, który ma miejsce między widzami i aktorem, kiedy funkcje obu stron stają się wymienne, gdy w tej samej sekundzie, w której aktor, jak my to nazywamy, "wchodzi" na widownię, widz przenosi się na scenę i gra za niego. To jest właśnie ów dystans, który światli krytycy wymyślili na określenie

pewnego typu aktorstwa i którym to epitetem i mnie zaszczytnie obdarowali. Z punktu widzenia aktora jest on niczym innym, jak tylko próbą spojrzenia na siebie oczami odbiorcy, wyjścia naprzeciw jego oczekiwaniom i w związku z tym powołaniem kontroli własnych zachowań. Pożytki z tego wynikają dwa. Po pierwsze, tym sposobem uzyskuje się podstawowe usprawiedliwienie bycia

161

na scenie - kontakt między nią a widownią. I po drugie, taki stan świadomości wymaga skromności w poczynaniach aktora. Daje mu do zrozumienia, że nie jest pępkiem świata i władcą wszechrzeczy, lecz tylko pośrednikiem myśli i uczuć między równouprawnionymi stronami. Kiedy usiłowałem zapewnić, że proces wchodzenia na scenę, opanowania roli, jest swoistą rezygnacją z siebie samego na rzecz siebie wyobrazonego, mogłem się wydać nieprzekony-wający. Przecież każdy z nas pozostaje dla publiczności w jakiś sposób niezmienny i rozpoznawalny. Często ta właśnie okoliczność jest źródłem naszej popularności. I oczywiście jest to prawda. Ale kiedy mówiłem o lęku przed identyfikacją prywatności z rolą, miałem na myśli błąd, jaki aktor mógłby popełnić, gdyby ze swojej gry chciał uczynić demonstrację własnych przeżyć. Swoją drogą, jest rzeczą bardzo interesującą zobaczyć, do jakiego stopnia czas dzisiejszy sprzyja temu dzielnemu ekshibicjonizmowi. Wynosi go na piedestał sztuki, więcej, nadaje mu pierwszy znak jakości. Aż roi się od mistyfikatorów, którzy teatr wybrali sobie na klinikę autoterapeutyczną przeciw własnym dewiacjom. Pasja, z jaką zmuszają siebie i innych do "wchodzenia w głąb", do analizy własnych jelit i obolałych zmysłów, jest w swoim bezwstydzie tak potężna, że wielu spośród autorytetów sztuki w panicznym strachu przed posądzeniem o ignorancję dyskryminuje wszystkich

162

tych, którzy się temu przeciwstawiają. To, co do niedawna jeszcze było sztandarem dyletan-tyzmu i grafomanii, stało się kryterium najwyższym. To, czego nie możemy w nas samych zmienić, co czyni nas bez względu na proces transformacyjny do siebie podobnymi, więcej, czemu nie wolno się sprzeniewierzyć - to nasz światopogląd, nam tylko właściwe postrzeganie rzeczywistości, własny, indywidualny wybór wartości. To on właśnie kształtuje i formułuje naszą wrażliwość, poziom intelektualny, nasz smak. Ilekroć przychodzi mi popadać w zachwyt nad artystą, stwierdzam, że odnosi się to głównie do rangi jego osobowości. Spośród wielu aktorów, których użyteczność jest niewątpliwa, dysponujących często doskonałym warształem, odnoszących prawdziwe sukcesy, tylko niewielu udaje się osiągnąć ten stopień wtajemniczenia, że można o nich powiedzieć, iż są czymś więcej niż aktorami. To właśnie oni, którzy zawód ten traktują jako środek porozumiewania się ludzi między sobą, jako narzędzie do wyrażania własnego zdania na temat spraw zasadniczych, wyznaczają rangę artystyczną aktora, uzasadniają piękno i nieustającą potrzebę teatru.

I tak się zaczął mój żywot aktorski. Trwa już ponad pięćdziesiąt lat. Nie umiałbym się z niego wypowiadać. Bo cóż można powie-

163

dzieć o sobie, nie zamięczając innych opowieściami o swoich wzlotach i zapaściach, nadziejach na zawsze zwodną akceptację, buntach przeciwko

niedoceniu, demonstrowaniu fałszywej pokory, kiedy wszystko wrywało się do zapewniania innych o własnej wielkości. Tym bardziej że nie bardzo pamiętam, co przez te lata zrobiłem. Nie bardzo wiem, jak mógłbym to wszystko uszeregować i nazwać przy moim przywiązaniu do mówienia z jakim takim sensem. Wiem tylko, że przez pierwsze lata pracowałem w zapamiętaniu, że zatraciłem się w teatrze bez reszty, że dzień i noc z niego nie wychodziłem, że przesłonił mi wszystko inne. Że dopiero po upływie wielu lat, kiedy zdobywana wiedza kazała mi szukać odpowiedzi na sens uprawiania teatru, na jego pożytek, zatrzymałem się w tym ślepych biegu. Stałem, żeby spojrzeć za siebie i stwierdzić, że wszystko, co uczyniłem, działo się poza świadomością, poza przemyślanymi wyborami. Było tylko pasją, spalaniem się, pławieniem w ekstremalnych przejawach życia - bosko komicznych, wstrząsająco dramatycznych, rozpaczliwie tragicznych. Że nie szukałem ani przyczyn, ani nie przewidywałem skutków tych bezustannych wybuchów emocji. Szafowałem nimi spontanicznie, bez żadnej kontroli, a więc niewątpliwie głupio. Nawet dla tych moich drogich widzów, którzy od czasu do czasu pozwalali sobie na podziw dla mnie. Czas choroby ustatkował

164

mnie. Ale przede wszystkim przymusowa, dwuletnia nieobecność w teatrze.

Był rok 1958, kiedy w przeddzień spotkania z dyrektorem jednego z czołowych warszawskich teatrów udałem się do fryzjera w hotelu "Bristol". Było sporo klientów, więc musiałem odczekać około dwóch godzin, zanim usiadłem w fotelu. Energiczny fryzjer wykonał zręczny manewr świeżym prześcieradłem, ale nagle zatrzymał się w pół gestu i spojrzał na mnie uważnie, oczywiście na moje odbicie w lustrze - wszyscy fryzjerzy porozumiewają się z klientami "przez lustro" - i zapytał: "Kto pana strzygł?". - Trochę speszony odpowiedziałem, że fryzjer w Krakowie. Uśmiechnął się szeroko,

165

jakby spodziewał się mojej odpowiedzi, i rzekł: "Tak jest! Proszę pana, z tą głową nie da się nic zrobić". I wyprosił mnie z fotela. Nie przewidywałem wówczas, że to niejasne poczucie winy za związki z Krakowem będzie mi towarzyszyło po dzień dzisiejszy.

Od przyjazdu do stolicy rozpoczęło się moje świadome już uczestnictwo w pracy artystycznej. Próba zreformowania siebie i pomysł na rozumne aktorstwo. Warszawa. Zajęła mi większość życia. Nic więc dziwnego, że tu właśnie rozstrzygały się wszystkie moje problemy. Trwała moja prywatna walka, podobna do zmagania tych wszystkich, którzy obrali sobie to mimo wszystko wspaniałe miasto na miejsce stałego pobytu. W wiadomych okolicznościach, w wiadomej atmosferze Polski Ludowej, która do końca zapewniała o swojej niepodległości i suwerenności, nie mając ku temu żadnych podstaw, która żywiąc się kłamstwem, siłą rzeczy, siłą swojego systemu, podzieliła ludzi na tych, którzy uwierzyli w jej dobre chęci, i na tych, którzy temu kłamstwu się sprzeciwili. Warszawski tygiel był największy i bulgotał najgłośniej. Nie ulec jego miazmatom, nie dać się wciągnąć w grę podwójnej moralności, podwójnej buchalterii intelektualnej, było sztuką trudną. Myślę, że teatrowi to się udało.

Z pomocą literatury, tej współczesnej, z polskimi poetami sceny,
Gombrowiczem, Różewiczem, Witkacym, Mrożkiem na czele, z wiarą

166

w niezniszczalne wartości wielkiej literatury klasycznej, dawał świadectwo uczciwości, sprawił, że dla większości społeczeństwa stał się źródłem prawdy, siedzibą wiarygodności i nadziei. Dziś jesteśmy u siebie, to jednak ładnie powiedziane - jesteśmy u siebie. Wracamy do normalności. Z odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła, jesteśmy zwolnieni. Polityka, okropna i zawsze podejrzana polityka przestała być kryterium jakości. Teatr nie musi za każdym razem udzielać odpowiedzi na sakramentalne: "W jakiej sprawie wystąpił?". Wróciła całkowita dowolność wypowiedzi, a wraz z nią powoli oddala się, przechodzi na plan dalszy to, co można by nazwać polską specyfiką: ideowe zaangażowanie.

Tak się składa, że i ja oddalam się, po prostu z wiekiem, zwykłą kolejną rzeczą. A wraz z tą zwiększającą się perspektywą widzenia pojawia się alternatywa, czyli kwestia wyboru. Między tym czemu oddałem życie i samym życiem. Czy jedno bez drugiego było możliwe? Nie sądzę. Nie sposób było nie pójść za swoim powołaniem, choć było zachłanne, zazdrosne, nie tolerujące zdrady z nikim i z niczym, i niepodobna by było wypełnić je prawdą i głębią bez uczestnictwa w życiu, w normalnym życiu ze wszystkimi jego trudami, bo przecież ono jedynie jest źródłem doświadczeń, wewnętrznego dojrzewania. A jednak. A jednak teraz, kiedy z konieczności dokonuję reasumpcji tego, co było

167

- w hierarchii ważności, w tym co można by nazwać sensem istnienia - życie sytuuje mi się na pierwszym miejscu. Ono, tylko ono najistotniej mnie określa, tylko z niego będę zdawać rachunek sumienia. Sztuka, jej uprawianie jest przygodą, pasjonującą, fantastyczną, ale tylko przygodą. Dziś jest Wielki Piątek. Jestem w Bukowinie Tatrzańskiej i wyglądam przez okno mojej chałupy. Mówię "mojej", bo jej właścicielami są nasi przyjaciele, których od dwudziestu lat niezmiennie odwiedzamy. Za oknem jest pięknie, jak to w Bukowinie. Świeci słońce, niebo bez chmur, na najbliższych pagórkach już zielono, a góry w śniegu. Są dziś oddalone i wyższe niż w rzeczywistości. Ogarnia mnie spokój i poczucie bezpieczeństwa. Mogę sobie robić, co chcę. Pójść na spacer, czytać, układać pasjansa albo zejść na dół, do kuchni, która jest czysta i obszerna, z prawdziwym piecem, i która teraz pachnie upieczonym świątecznym ciastem. A w kuchni jest Zosia. Piękna, wspaniała Zosia. Jeśli możecie sobie wyobrazić dorodną górkę, inteligentną, zawsze gotową do śmiechu, a równocześnie noszącą w sobie godność nie dopuszczającą do poufałości - taka jest Zosia. Zawsze w kuchni, zawsze przy gotowaniu, ogarnia wszystko, co dotyczy domu i ma czas dla każdego, kto się do niej zwraca. A zwracają się do niej wszyscy ze wszystkim. Z pytaniami o porę posiłku, z chorymi dziećmi, ze zwierzeniami

168

o sobie, żeby się dowiedzieć o najatrakcyjniejsze trasy wycieczkowe i czy lepiej najpierw zjeść śniadanie, a potem się umyć, czy odwrotnie. Życzliwa, dowcipna, udziela wyczerpujących odpowiedzi, nie przestając pracować, z czujnym okiem na wszystko, co się dzieje. Ma swoje sympatie i antypatie. Pierwszych traktuje

jak przyjaciół, z czułością i oddaniem, drugich "nie widzi", zbywa zdawkowo. Jej wybór jest zawsze trafny. Nie wiem, jak ona to robi, ale w ocenie ludzi jest niezrównana. Widocznie ma w sobie jakąś antenę o wielkiej częstotliwości przyjmowania zewnętrznych impulsów, która informuje ją o zagrożeniach i sprzyjających prądach.

Kiedyś zawiozłem ją do Warszawy, do szpitala, do jej i naszego przyjaciela, znakomitego profesora chirurga, na operację nóg. Opowiadał mi potem, że najpierw jej wyjaśnił, jak to będzie. Że operacja będzie dwufazowa, że najpierw trzeba będzie zoperować jedną nogę, po to żeby mogła ze dwa, trzy dni pochodzić, i dopiero potem zabrać się do tej drugiej. Absolutnie się nie zgodziła, twierdząc, że za trzy dni musi być w domu. Musiał się z tym zgodzić i kiedy już leżała na stole operacyjnym, wyjaśnił jej: "Widzisz, Zosieńko, ja ci będę robił tę nogę, a mój kolega drugą". "A kto będzie robił między?" - zapytała Zosieńka i zasnęła. Wieczorem tego dnia nasz przyjaciel przyszedł do szpitala, żeby sprawdzić, jak Zosia się czuje. Nie znalazł

169

jej w łóżku. W sąsiednim pokoju, na drabinie, myła okna. Powiedziała: "Jak wy możecie wytrzymać w takim brudzie!".

Za każdym pobycem w Bukowinie mówię jej: "Zosiu, kocham cię", odpowiada mi z łagodnym ubolewaniem: "Już dwadzieścia lat mi tak mówisz". A jej mąż Jasiek, blondyn o niebieskich oczach, zgrabny, niebywale sprawny fizycznie, jest oczywiście także cudowny. Na swój męski sposób. Cały czas pracuje. W polu, w oborze, w domu. Bez chwili wytchnienia. Nie usiedzi przez chwilę. Tryskający humorem, w nieustannym biegu pokonuje dziennie kilometry drogi i nie ma takiej rzeczy, za którą by się nie chwycił, poprawił, naprawił, przerobił. Do wszystkiego się wtrąca, nawet do kuchni, czym Zośkę doprowadza do pasji i to jest właśnie moment, w którym dokładnie widać, kto w tym domu naprawdę rządzi. Jasiek nagle pokornieje, ucisza się, poddaje. Ale tylko na chwilę. Całuje ją i leci dalej. Tak od rana do wieczora. A w nocy nie kładzie się spać, ale pada jak podcięte drzewo.

Mają troje dzieci: Andrzeja, Anię i Adasia. Chowały się na moich oczach. Mógłbym o każdym z nich snuć osobną opowieść, jak rosły, jak każde z nich jest na swój sposób inne, w jakiej zgodzie i mądrości rodziców były chowane. Ale powiem tylko jedno: są zjawiskiem, cudem. Wszystkie jasne, piękne, dobre, kochające się nawzajem, wyrosłe w cnocie, nie tej narzuconej,

170

sztucznej, pruderyjnej, ale w tej, która jest prawdziwą czystością, jak czyste i naturalne są ich myśli i postępowanie. Andrzej jest budowniczym domów, Ania studiuje zarządzanie, Adaś architekturę. I choć powoli odchodzą z rodzinnego domu - Andrzej jest już żonaty i ma dwoje dzieci - trwają w domu rodziców, zbudowanym przez rodziców, i ta ich wspólnota wygląda jak zdrowe, dorodne drzewo, które na wiosnę zakwita, w lecie owocuje, a w zimie zasypia, zbierając siły do następnej wiosny. Niech Bóg błogosławi ten dom. Niech trzyma ich wszystkich blisko siebie. Bo bardzo rzadko bywa, aby ktoś był tak stworzony. Na Jego obraz i podobieństwo. ...- ;4, ;,

To moje pisanie nie jest pamiętnikiem. Mój czas przeszły składa się tylko z plam pamięci. Nie zanotowany w szczegółach przybliża mi się jedynie w jakichś zagęszczonych okolicznościach, w ich kolorycie i nastroju, i nie uwzględnia chronologii tych z górą siedemdziesięciu lat.

Myślę, że większość mojego życia, życia mojego pokolenia, upłynęła w czymś, co tego życia było zawieszeniem, przerwą dzielącą dwa krańce: wstępującą młodość i czas odchodzenia. Jeśli przyjmiemy, że z wybuchem wojny życie się zatrzymało i powróciło dopiero w 1989 roku, ogromny czas pomiędzy tymi datami był tylko czasem oczekiwania, bierności, czymś co można

171

porównać do rzeki przepływającej pod mostem łączącym dwa jej przeciwległe brzegi, rzeki, której nie mogliśmy zawrócić.

Nie mogło to nie mieć znaczenia. Kształtowało nasz charakter, nasz sposób bycia, naszą wrażliwość. I jak to na ogół bywa w biedzie, skłaniało do oglądu świata nie tylko z perspektywy własnej egzystencji. Zdaję sobie sprawę, że obciążony tym nawykiem, nie sprostąłem oczekiwaniom niektórych Czytelników, którzy w pamiętnikach aktora spodziewają się znaleźć informacje o jego karierze i wszystkich związanych z nią przygodach. Moim zamiarem było tylko pokazać własną drogę do aktorstwa z pominięciem jego opisu i oceny, która, jak mi się zdaje, nie do mnie należy.

Jest jeszcze jeden powód tych moich zwierzeń. Chciałem moim drogim dzieciom, Ewie, Magdalenie i Jasiowi, i mojemu wnukowi Piotrowi, z którymi tak strasznie mało rozmawiałem - przedstawić się. Powiedzieć im, kim byłem, kim jestem i kim chciałbym być. Aby do tego, co o mnie od innych usłyszą, usłyszeli jeszcze głos bardzo ich kochającego ojca.

Spis treści

Ojciec	5
Zwierzyniec	19
Szkoła	33
Kościół	47
Wojna	69
Okupacja	93
Po wojnie	141